

NASZA

PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA
TRYBUNA
ZACHOWAWCZEJ
MYŚLI
PAŃSTWOWEJ

TOM XXVIII

T R E Ś Ć:

	<i>Str.</i>
<i>Komunikat Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości</i>	1
<i>Min. Karol Nieszabrowski — Czy Polacy są Słowianami?</i>	22
<i>Dr. Jan Bobrzyński — Wskreszenie Trójprzymierza</i>	37
<i>Ks. Kan. Ignacy Charszewski — „Zajazd Kardynała“</i>	45
<i>Dr. Jerzy Pogonowski — O towarzystwo naukowe polsko-ukraińskie</i>	58
<i>Prof. Dr. Tadeusz Hilarowicz — Myśl zachowawcza a sprawy urzędnicze</i>	67
<i>Ks. Nikodem Cieszyński — Krzepnięcie masonerji</i>	74
<i>Emil Rewerowski — Praca nauczycielska Piusa XI</i>	84
<i>Eugenjusz M. Schummer — Geneza „antagonizmu” litewsko-polskiego</i>	91
<i>Komunikat Redakcji</i>	105

Dlaczego masz oszczędzać,
[rzecz jak kryształ czysta,
Wszak znany w całym świecie
[rzekł ekonomista,
Że wielkim jest sprawdzianem
[dla ludzkiej wartości
To, co ma uzbierane w Kasie Oszczędności.

Miljon Obywateli

składa swe oszczędności w P. K. O.

Zasadą tej Instytucji jest:

Pewność i Zaufanie

Cyfry Bilansu P. K. O. za rok 1932.

Gotówka do dyspozycji zł.	203.493.677,15
Lokaty własne „	423.933.887,97
Nieruchomości „	35.313.019,22
Rezerwy „	33.068.825,31

Roczny obrót 23 miljardy złotych.

P. K. O. jest osobą prawną i ustawowo gwarantuje
swym klientom tajemnicę wkładów.

KOMUNIKAT KOŁA PRZYJACIÓŁ NASZEJ PRZYSZŁOŚCI.

ZEBRANIE DYSKUSYJNE W SPRAWIE PRAWA WŁASNOŚCI.

Stosownie do ogólnego programu, ogłoszonego jeszcze w październikowym tomie wydawnictwa z. r., przystąpiło Koło Przyjaciół Naszej Przyszłości — po dłuższym przygotowaniu — do zapoczątkowania ostatniego z wymienionych tam praktycznych punktów programowych, mianowicie do akcji w sprawie wyjaśnienia najważniejszych przeszkód, tamujących dotąd skuteczną walkę z kryzysem gospodarczym w Polsce. Jak wiadomo z szeregu artykułów, zamieszczanych w ciągu dwóch lat ostatnich w naszym piśmie, stoimy na stanowisku, że do kryzysu gospodarczego w naszym kraju przyczyniają się wprawdzie w pewnym stopniu warunki ogólno-światowe, ale że wpływ ich byłby w każdym razie bardzo znacznie złagodzony, gdyby cały nasz wewnętrzny ustrój gospodarczy i fiskalny oraz cały nastrój społeczeństwa polskiego uległ gruntownej reformie w kierunku, sprzyjającym n a p r a w d ę rozwojowi gospodarstwa krajowego, a zwłaszcza prywatnego.

Długi szereg prac, narad i artykułów w tym zakresie poprzedził to pierwsze wystąpienie Koła Przyjaciół N. P. w liczniejszym gronie i to w postaci drugiego z rzędu w bieżącym sezonie politycznym zebrania obiadowego w salo-
nach Resursy Kupieckiej w Warszawie dnia 25-go stycznia. Przy długim stole, ustawionym w podkowie, zebrało się czterdzieści osób ze sfer duchownych, politycznych, gospodarczych i publicystycznych — zwolenników ogólnej idei

zachowawczej i naszego pisma, bez względu na drugorzędne różnice indywidualnych zapatrywań w szczegółach.

W pewnym momencie obiadu zagaił dyskusję wydawca Naszej Przyszłości, Dr. Bobrzyński, witając zebranych zwolenników pisma i jego akcji z Warszawy, Wilna, Łodzi i Poznania i podnosząc temat prawa własności, jako właściwej platformy, z której dopiero jakikolwiek start w kierunku istotnego, trwałego dźwignięcia się z obecnego gospodarczego upadku rozpocząć się może.

Upadek obecny — mówił prelegent — jest splotem trzech kryzysów: gospodarczego, ustrojowego i moralno-psychicznego. Jeden bez drugiego rozwiązać się w żaden sposób nie da, a najdotkliwszym jest kryzys moralno-psychiczny, gdyż na początku każdego konstruktywnego dzieła musi być wola, silna, zdecydowana i świadoma celu wola, a gdzie jej brak, tam żadne dorywcze środki i paljatywy nie pomogą.

Trzeba więc stworzyć sobie najpierw jakąś murowaną, niewzruszoną platformę, w umysłach szerszych sfer możliwie uzgodnioną, aby na jej podstawie móc zacząć logicznie myśleć o kryzysie gospodarczym, a potem skutecznie z nim walczyć. Otóż uważna obserwacja ewolucji stosunków przedwojennych, a zwłaszcza powojennych, wykazuje niezbicie, że najistotniejszą przyczyną tak długotrwałego zwichnięcia równowagi społeczno-gospodarczej na świecie wogóle, a w Polsce w szczególności, było niewątpliwie podważenie prawa własności. Nadkruszyły to fundamentalne prawo cywilizacyjne najpierw doktryny socjalistyczne, potem kataklizm wojenny, potem lekkomyślny radykalizm „zwycięskiej w wojnie światowej demokracji“ równocześnie z ekspansją komunizmu i przewrotem rosyjskim, potem w Polsce nasza swojska demagogja partyjna i ustawodawcza, wreszcie nadmiernie wybujały etatyzm i fiskalizm —

ten ostatni sięgający w różnych swych zakostniałych pojęciach, tezach i praktykach wstecz, aż do epoki kameralistycznej w rozwoju ekonomji.

Nie bronią się dostatecznie przeciw tej złowrogiej ewolucji właściwie żadne sfery społeczeństwa, nawet te, które opowiadają się przy zasadach zachowawczych i wiele jeszcze mają do stracenia. Przeciwnie, z tych właśnie sfer wychodzą raz po raz oportunistyczne tezy, argumentowane z aż nadmierną erudycją, o płynności pojęcia prawa własności, o niemożliwości jego ustawodawczego sformułowania ze względu na ewentualne przyszłe wymagania „ducha czasu i postępu“ i t. d. i t. d. To wszystko zaś, razem wzięte, ułatwia w praktycznym a ostatecznym rezultacie coraz większą ekspansję bolszewizmu, który ogarnia, jak zaraza, już nawet i sfery katolicko-zachowawcze, mimo ich woli i wiedzy. Niezmiernie trudno już jest wynaleść w kraju jednostki, któreby twardo i bezkompromisowo przy prawie własności opowiedzieć się chciały lub miały odwagę.

Stąd wynika beznadziejny narazie paradoks gospodarczy: chce się leczyć upadek gospodarstwa kapitalistycznego, a więc opartego o prawo własności prywatnej, zapomocą coraz większego kruszenia tego prawa!

Oczywisty absurd i stan na razie zupełnie beznadziejny!

Należy więc przedewszystkiem prawo to przywrócić do pełnego waloru, niewzruszonego żadnym oportunistem, ani nazbyt uczoną sofistyką. Należy dobrze sobie uświadomić, że prawo to jest zarówno Boskiem, jak i ludzkim prawem naturalnem, na którem cały nasz dorobek cywilizacyjny i ład i porządek społeczny się opiera. Nie wolno lekceważyć lub oportunistycznie interpretować, wśród tysiącznych zastrzeżeń, jasnego i niedwuznacznego Boskiego przykazania: Nie kradnij! Przykazanie to jest istotnie niewzruszonem i obalić się nie da, nawet niewierzącym. Przecież

nawet eksperyment bolszewicki nie zdołał wypłenić z pojęć samychże bolszewików pojęcia własności, ewoluując bardzo szybko z utopijnej tezy komunizmu do kapitalizmu państwowego, którego trwałość w Rosji jest także pod znakiem zapytania. Wszak każde stworzenie broni się przeciw odebraniu mu tego, co za swą własność lub indywidualną „zdobycz“ uważa. Dlaczego więc dążyć do samobójczego gwałcenia tego fundamentalnego prawa w imię takich czy innych utopji społecznych czy państwowych?! Dlaczego zwłaszcza poddają się temu zgubnemu prądowi małodusznie te sfery, których istnienie i racja bytu przedewszystkiem właśnie na prawie własności się opiera? Przecież ich najprostszymi obowiązkiem, dyktowanym choćby już tylko instynktem samozachowawczym, jest mocne, zdecydowane zaciągnięcie na szali prawa własności, skoro na przeciwnej szali — radykalnego postępu i wywrotu — ciąży już i tak aż nadto liczne masy. A przytem zważyć i to trzeba, że z prawem własności związany jest organicznie ustrój rodzinny i inne wyższe zasady społeczne i moralne.

Stąd też Nasza Przyszłość, w dokładnem zrozumieniu groźnej sytuacji, w jaką zabrnęliśmy pod każdym względem wskutek podważenia i lekceważenia prawa własności, uważa sobie za obowiązek podnieść wysoko sztandar tego prawa i wystąpić kategorycznie przeciw wszelkim naukowym, czy praktycznym tendencjom jego naruszenia i „upłynnienia“. Niech będzie choć jedna placówka w Polsce, która zdecydowanie broni tej zasady! A z tej placówki powinien wzbudzić się coraz silniejszy prąd i krystalizować się coraz szerszy obóz, któryby obronę prawa własności, w konsekwentnem zastosowaniu do wszelkich szczegółów ustrojowych i gospodarczych w państwie, wypisał na czele swego programu.

Ewolucja, jak widocznem jest dla każdego obiektywnego obserwatora, zmierza w kierunku coraz bardziej zaak-

centowanej alternatywy: albo konserwatyzm, na prawie własności silnie oparty, albo bolszewizm w jakiejbądź formie. Wszystko, co jest dzisiaj jeszcze w pośrodku, oportunistyczne, eklektyczne, paktujące, niezdecydowane, miękie, „galaretowate“ — zginąć musi, jak ginie wszystko słabe.

Następnie prelegent zwrócił się z zaproszeniem zabrania głosu do profesora Bossowskiego, który przybył umyślnie z Wilna na propozycję Koła Przyjaciół N. P., celem wygłoszenia swego zdania w obszerniejszym referacie, który niniejszem w całości podajemy.

PRAWO WŁASNOŚCI JAKO JEDNA Z PODSTAW NORMALNEGO ROZWOJU SPOŁECZEŃSTWA.

I.

Mówiąc o prawie własności, przedewszystkiem należy wyjaśnić terminologję; w życiu bowiem potocznem oraz w filozofji, mówiąc o prawie własności, łączymy z tem określeniem daleko szersze pojęcie, niż w prawie prywatnem. Dla prawnika cywilisty prawem własności jest prawo rzeczowe, dające uprawnionemu pełnię władzy nad pewną rzeczą materjalną; w języku życia potocznego oraz w filozofji, kiedy mówimy o własności, to rozumiemy wszelkie prawa majątkowe prywatne i np. powiadamy, że ustawa, któraby zwalniała dłużnika od zwrotu pożyczonych pieniędzy, byłaby naruszeniem prawa własności. Kiedy filozof powiada, że ustawodawstwo powinno uznać i uszanować prawo własności, to prawnik cywilista formułuje powyższy postulat w następujący sposób: System prawa prywatnego winien opierać się na następujących zasadach:

1) na uznaniu i otoczeniu ochroną prawną istnienia samodzielnych gospodarstw indywidualnych¹⁾,

¹⁾ Istnienie asocjacji (spółek, korporacji i t. d.) i prowadzenie gospodarstw własnych przez te organizacje życia zbiorowego, obok istniejących gospodarstw indywidualnych, da pogodzić się — jak wiadomo — całkiem dobrze z tym systemem. Co do zastrzeżeń, ob. niżej pod II.

2) na dopuszczeniu do swobodnej wymiany dóbr gospodarczych pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami indywidualnymi,

3) na prywatnym dziedziczeniu.

System prawa prywatnego, oparty na powyższych zasadach, ma tę wyższość nad innymi, że stanowi najsilniejszą ze wszystkich znanych nam pobudek do pracy i energii, gdyż przy systemie takim jednostka zabiera się do pracy nie tylko dlatego, aby zdobyć zaopatrzenie materialne dla siebie, ale także dla swojej rodziny i swego potomstwa; a zatem to niezmiernie silne pragnienie stworzenia rodziny, które u każdego normalnego człowieka występuje, przy takim systemie prawa prywatnego jeszcze bardziej pobudza energię i pracowitość poszczególnych jednostek.

To też doświadczenie historyczne potwierdza najzupełniej powyższą tezę, a w szczególności uczy nas, że kiedy obok siebie istniały dwie różne metody pobudzania ludzi do pracy, mianowicie z jednej strony metoda, zmierzająca do tego celu przez system prawa prywatnego, opierający się na uznaniu i uszanowaniu prawa własności w szerszym, filozoficznym rozumieniu tego słowa²⁾, a z drugiej strony inna jakaś metoda, np. metoda posługująca się pracą przymusową, to zawsze pierwsza metoda okazywała się daleko skuteczniejszą.

²⁾ Nietylko jednak filozofja, ale nawet niektóre ustawy używają terminologii „prawo własności“ w szerszym, filozoficznym tego słowa znaczeniu. Ob. np. Art. 99 konstytucji polskiej: „Rzeczpospolita Polska uznaje wszelką własność... jako jedną z najważniejszych podstaw ustroju społecznego i porządku prawnego oraz poręcza wszystkim mieszkańcom, instytucjom, społecznościom ochronę ich mienia, a dopuszcza tylko w wypadkach, ustawą przewidzianych, zniesienie lub ograniczenie własności.... ze względów wyższej użyteczności za odszkodowaniem“.

Przez własność w myśl Art. 99 konstytucji należy rozumieć wszelkie prawo majątkowe prywatne (nie zaś tylko własność w rozumieniu cywilistycznym), jak tego dowodzi:

a) użycie słowa „mienie“, jako synonimu „własności“,

b) postanowienie, że zniesienie lub ograniczenie własności (drogą wywłaszczenia) może nastąpić tylko za odszkodowaniem; niespornem jest bowiem, że nietylko własność, ale także inne prawa majątkowe, np. słuszność, prawa patentowe, górnicze i t. p., mogą ulec wywłaszczeniu.

Z tego też powodu w państwie rzymskim niejednokrotnie pan oddawał niewolnikowi swemu pewną część swego majątku w zarząd, pozwalając mu swobodnie rozporządzać na swoje potrzeby uzyskanymi stąd dochodami, a nakładając nań obowiązek do wyrachowania się jedynie z powierzonego mu funduszu zakładowego. Majątek taki zwał się w prawie rzymskim peculium. Widzimy stąd, że pan, który mógł swego niewolnika zmuszać do pracy groźbą najsurowszych kar, na podstawie poczynionych doświadczeń wiedział, że jednak w wielu wypadkach skuteczniejszym bodźcem będzie zainteresowanie niewolnika wynikami jego pracy.

Podobnem wyrachowaniem kierowała się i szlachta polska, kiedy, począwszy od Sejmu czteroletniego, przeprowadza reformy ustawodawcze, ułatwiające oczynszowanie włościan w miejsce pracy pańszczyźnianej i kiedy istotnie w wielu majątkach właściciele oczynszowanie takie przeprowadzają.

Z tych samych przyczyn — jak wiadomo — dzisiaj niektóre przedsiębiorstwa przyznają swym pracownikom tantjemy od zysków i t. d.

Rezultaty ludzkiej pracy i działalności mogą przetrwać życie tej jednostki, która swą pracą do osiągnięcia tych rezultatów się przyczyniła. Mieszkamy np. niejednokrotnie w budynkach, wzniesionych przez dawniejsze pokolenia i większość naszych kościołów, w których się dziś jeszcze modlimy, wzniesiona jest przed wiekami; jeździmy kolejami, zbudowanymi za życia naszych ojców lub dziadów, korzystamy z wynalazków technicznych poprzednich pokoleń i t. d. Dobrobyt przedwojennej Francji, Anglii, Belgji i t. d. był owocem niestrudzonej pracy całego szeregu pokoleń, począwszy od XVII wieku. Wobec tego zupełnie naturalnem jest, że przy systemie prawa prywatnego, „uznającego i otaczającego opieką prawo własności“, prawa majątkowe prywatne (poza nielicznymi wyjątkami, np. dożywotniem

użytkowaniem, dożywotnią rentą i t. d.) nie wygasają, lecz przechodzą drogą spadku na osobę, której uprawniony przeznaczy te prawa w rozporządzeniu swej ostatniej woli, a w braku rozporządzenia ostatniej woli przechodzą na członków rodziny zmarłego. Skutkiem tego jednostka może liczyć, że przez swą pracę i działalność zdoła zapewnić zaopatrzenie swym dzieciom, a nawet swym dalszym potomkom. Jak silnym bodźcem do pracy jest to pragnienie zaopatrzenia swego potomstwa, tego znowu liczne dowody znajdujemy w historii. Włóścianie w wiekach średnich, a nawet w czasach nowożytnych, aż do uwłaszczenia włóścian, nie mogli nabywać ziemi na własność; po największej części byli oni dzierżawcami uprawianych przez siebie gruntów. Bardzo często ta dzierżawa przechodzi stopniowo w dzierżawę wieczystą, a zmiana powyższa dokonywa się niejednokrotnie (np. w Anglii, Francji, zachodnich Niemczech) bez nacisku ze strony władzy państwowej; bodźcem zaś, skłaniającym pana do takiej modyfikacji stosunku prawnego na korzyść swego poddanego, jest nadzieja, że wówczas będzie on staranniej grunt uprawiał i wystrzegał się gospodarki rabunkowej ze względu na swe dzieci. Podobnie w starożytności emphyteuza była pierwotnie dzierżawą krótkoterminową (na lat 7), przy której dzierżawca zobowiązywał się uprawiać grunt, dotychczas nieuprawiony (do tego zaś celu potrzebnem było zazwyczaj przy klimacie południowym przeprowadzenie odpowiedniej irygacji); w kodyfikacji justynjańskiej emphyteuza jest już dzierżawą wieczystą. Zmiana powyższa z tych samych przyczyn przez rzymskiego prawodawcę wprowadzona została.

Takich przykładów można znaleźć bardzo wiele w historii.

II.

Zasady powyższe, w których wyraża się uznanie i szanowanie prawa własności (w szerszem, filozoficznym tego słowa znaczeniu) przez prawa cywilne, mogą ulec pewnym ograniczeniom przez specjalne przepisy prawne. Np. właściciel parceli budowlanej w mieście musi stawiać dom wedle planu, zatwierdzonego przez władzę budowlaną (magistrat), przyczem musi trzymać się linii, oznaczonej w planie regulacyjnym i t. d. W wypadku tym pełnia władzy nad rzeczą, która wedle podręczników prawa prywatnego stanowi treść prawa własności — skutkiem ustawowych ograniczeń w wykonywaniu prawa własności — ścieśniona zostaje do tego stopnia, iż właścicielowi zostaje tylko możliwość mieszkania w swoim domu lub też wynajmowania mieszkań innym i pobierania za nie czynszu. Tak było przed wojną i nikt w tem nie dopatrywał się podkopania prawa własności przez ustawodawcę.

Zupełnie podobnie i wolna wymiana dóbr pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami indywidualnymi może być w niejednym kierunku przez ustawodawcę ograniczona, np. przed wojną wolne kształtowanie się cen w obrocie było w wielu wypadkach wykluczone przez taryfę aptekarską, taryfę dorożkarską, taryfy kolejowe i t. d. Co więcej, istniał w wielu wypadkach *a d m i n i s t r a c y j n y* przymus zawierania pewnych umów, mających służyć gospodarczej wymianie dóbr pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami indywidualnymi, np. aptekarz nie mógł odmówić sprzedaży lekarstwa płacącemu za nie gotówką, tak samo wezwany do chorego lekarz nie mógł odmówić pomocy lekarskiej, kolej nie mogła odmówić przyjęcia towaru do przewozu i t. d. Również i w tych ograniczeniach wolnego obrotu gospodarczego, znanych ustawodawstwu przedwojennemu, nikt nie dopatrywał się podkopania przez ustawodawcę wyżej przedstawionych zasad prawa prywatnego.

Podkopanie prawa własności (w szerszem, filozoficz-

nem jego znaczeniu) występuje dopiero wówczas, gdy skutkiem ustawowych ograniczeń jednostka traci możliwość uzyskania normalnego zarobku drogą pracy we własnym gospodarstwie.

Utrata taka zachodzi nietylko w razie wywłaszczenia bez odszkodowania, ale także w razie różnych ustawodawczych pomyłek, np. nadmiernego obciążenia podatkowego, które — o ile przekracza pewną granicę — staje się ukrytą konfiskatą dochodu, a nawet samej substancji majątku. Tego rodzaju forma podkopywania prawa własności jest dzisiaj bardzo częstym zjawiskiem, a w szczególnie jaskrawej formie występuje ona przy podatku spadkowym; w tym ostatnim wypadku nadmierne obciążenie podatkowe, będące ukrytą konfiskatą, jest nietylko podkopaniem prawa własności (w szerszym, filozoficznym tego słowa znaczeniu), ale jest zarazem środkiem do rozbicia łączności i solidarności rodzinnej; normalnie bowiem celem, który człowiekowi przyświeca przy pracy, jest — jak to wyżej zaznaczono — nietylko zaspokojenie własnych potrzeb, ale także i zaopatrzenie swej rodziny, a zwłaszcza ten ostatni cel jest bardzo silnym bodźcem do oszczędności; podatek spadkowy, o ile jest ukrytą konfiskatą majątku, przekreśla tę nadzieję i tem samem rozbija wspomnianą łączność interesów rodzinnych, a równocześnie samego właściciela p o p y c h a n i e j e d n o k r o t n i e d o l e k k o m y ś l n e g o t r w o n i e n i a m a j ą t k u, o którym wie, że jego znaczna część nie przypadnie rodzinie, lecz będzie zabrana na podatek spadkowy.

Tak samo podkopaniem prawa własności będzie wywołanie przez akty ustawodawcze (prohibicję, cła i t. d.) takiego stosunku pomiędzy cenami środków produkcji, a gotowym produktem, że jednostka produkująca musi swój produkt zbywać poniżej własnych kosztów.

Podkopywaniem prawa własności będzie również tworzenie przedsiębiorstw państwowych lub gminnych i fawo-

ryzowanie ich przy pomocy ułatwień, udzielanych kosztem ogółu płatników (ulgi podatkowe, ulgi kredytowe i t. d.) do tego stopnia, że pomimo ociążałej administracji i braku osobistego zainteresowania u kierowników takich przedsiębiorstw, przedsiębiorstwa prywatne nie mogą wytrzymać ich konkurencji.

Za naruszenie prawa własności należy uważać i nadmierną emisję pieniądza papierowego, która zmniejsza silnie wartość jednostki monetarnej, a tem samem zmniejsza wartość i wszystkich, już istniejących wierzytelności pieniężnych i wartość zapasów gotówki pieniężnej, znajdującej się w rękach osób prywatnych.

Tak samo w zasadzie należy ocenić i ustawową redukcję umownych odsetek, należnych wierzycielowi od pożyczonego kapitału. Z pewnem wahaniem możnaby zrobić wyjątek od powyższej zasady w tym tylko wypadku, gdy odsetki wspomniane skutkiem zmiany materialnej dłużnika są nieściągalne i przez ich zredukowanie uratowana zostaje egzystencja gospodarcza dłużnika; wówczas bowiem ofiara, którą ponosi wierzyciel bez swej zgody, przypomina np. ofiarę, którą w razie niewypłacalności dłużnika ponosi bez swej zgody mniejszość wierzycieli, głosująca przeciwko ugodzie przymusowej, przyjętej przez większość wierzycieli.

Wyżej wymienione przykłady podkopywania prawa własności przez ustawodawcę nie są wyczerpujące; wiemy dobrze, że w dobie dzisiejszej możnaby znaleźć więcej podobnych przykładów. Szczególną jednak uwagę należy poświęcić pewnej błędnej teorii cywilistycznej, która jest dość popularną, a może być użyta jako usprawiedliwienie ustaw, podkopujących prawo własności (w jego szerszem, filozoficznym znaczeniu). Teoria ta twierdzi, że dawniej prawa majątkowe prywatne dawały uprawnionemu pewną władzę nad dobrami materialnymi (np. prawo własności dawało władzę nad rzeczą i t. d.), dzisiaj natomiast, jeżeli nawet posługiwać się będziemy

konstrukcją praw podmiotowych prywatnych, to musimy pamiętać, że ich celem nie jest dawać uprawnionemu jakąś władzę, lecz tylko uczynić mu możliwem spełnienie pewnej funkcji gospodarczej, np. produkcji i t. d. (por. Duguit, Transformations générales du droit privé depuis le Code Napoléon). Pogląd ten musi budzić p o w a ż n e z a s t r z e ż e n i a. Wprawdzie trzeba przyznać, że już od chwili, kiedy społeczeństwo z gospodarki naturalnej przeszło do gospodarki wymiennej, poszczególne jednostki produkuje w swem gospodarstwie wytwory przeważnie nie dla zaspokojenia swych własnych potrzeb, lecz dla puszczenia tych produktów na targ, aby w zamian za nie otrzymać potrzebne dla siebie dobra gospodarcze. Istnienie zatem gospodarki wymiennej stwarza wzajemną od siebie zależność poszczególnych gospodarstw indywidualnych i w myśl tej zależności poszczególne gospodarstwa stanowią pojedyncze ogniwa organizacji, obejmującej całokształt życia gospodarczego, mianowicie produkcję, wymianę dóbr i konsumpcję. Na to jednak, aby poszczególne gospodarstwo indywidualne mogło spełnić tę funkcję, to właśnie właściciel jego musi mieć potrzebną s w o b o d ę g o s p o d a r c z ą i musi być zainteresowany pieniężnie wynikami swej gospodarki. A taki stan rzeczy — w myśl moich poprzednich wywodów — istnieć nie może bez tej ochrony, którą gospodarstwu indywidualnemu dają prawa podmiotowe prywatne, oraz bez swobodnej wymiany dóbr gospodarczych. Prawdą jest również, że ustawodawstwo administracyjne rozciąga dzisiaj baczną kontrolę nad produkcją i wymianą dóbr, wprowadzając dla tego celu liczne ustawowe ograniczenia prawa własności (w cywilistycznym tego słowa znaczeniu) oraz ograniczenia swobodnej wymiany dóbr gospodarczych. Pamiętać jednak należy, że ograniczenia powyższe nie zmieniają dotychczasowych tradycyjnych pojęć prawa własności (w cywilistycznym tego słowa znaczeniu), wierzytelności, kontraktu i t. d.; jeżeli zaś one — jak to powyżej zaznaczono — przekroczą właściwą miarę, odejmu-

jąc jednostce możliwość osiągnięcia zarobku drogą pracy we własnym gospodarstwie, to pociągają za sobą dezorganizację życia gospodarczego. W innych znowu wypadkach dezorganizacja życia gospodarczego jest skutkiem katastrof, nie zaś błędem ustawodawcy: np. gdy siła nabywczą konsumenta skutkiem ogólnej pauperyzacji spadnie do tego stopnia, że nie może on nabyć towaru po cenie, pokrywającej koszty produkcji, albo też, gdy skurczenie się produkcji pociąga za sobą brak towarów w porównaniu z ich zapotrzebowaniem. Zjawiska takie wystąpiły np. w czasie wojny. Wówczas — o ile rozchodzi się o artykuły pierwszej potrzeby — nie pozostaje ustawodawcy nic innego, jak w pierwszym wypadku wywrzeć nacisk na kształtowanie się cen, aby towar uczynić dostępnym nabywcy; w drugim wypadku znowu dbać o poparcie tej gałęzi produkcji i o możliwie równomierny rozdział towaru pomiędzy konsumentów. Ustawodawca winien jednak tutaj pamiętać, że nawet bez jego interwencji, skutkiem żelaznych prawideł ekonomji, ceny surowców dostosować się muszą stopniowo do cen, które konsument może zapłacić za gotowy produkt i że zwiększony popyt skutkiem tych samych praw ekonomji przyczynia się do zwiększenia produkcji tak, iż interwencja ustawodawcy, chociaż w takich sytuacjach sięga napozór głęboko w życie, to jednak w istocie idzie z prądem praw ekonomicznych, a przytem spełnia rolę paljatywu, łagodząc wstrząśnienia gospodarcze w okresie przejściowym wzajemnego przystosowywania się do zmienionych warunków. Każde odchylenie się ustawodawcy od wyżej przedstawionej linii wytycznej podkopywać będzie prawo własności (w obszerniejszem, filozoficznem tego słowa znaczeniu) i tem samem stanowić źródło niebezpieczeństw dla życia gospodarczego.

III.

Powodem błędnej polityki prawodawczej, podkopującej prawo własności (w jego szerszem, filozoficznym znaczeniu), jest niechęć, z którą spotyka się nierówność majątkowa, uważana dziś powszechnie jako niesprawiedliwość społeczna. A dzieje się to z tej przyczyny, że nierówność majątkowa jest nieuniknionem następstwem istnienia odrębności poszczególnych gospodarstw indywidualnych, swobodnej między nimi gospodarczej wymiany i prywatnego dziedziczenia. Niechęć zatem przeciwko nierówności majątkowej obejmuje także i własność prywatną (w obszerniejszem, filozoficznym tego słowa znaczeniu), jako jej przyczynę. Należy zatem zbadać, o ile ta niechęć jest usprawiedliwiona.

Otóż doświadczenie uczy, że system prawa cywilnego, uznający i otaczający ochroną prawo własności (w jego szerszem, filozoficznym znaczeniu), zachęca jednostki do rozwinięcia jak największej pracowitości i energji i przez to prowadzi do wprost wspaniałego rozkwitu dobrobytu; z dobrobytu zaś, w ten sposób zdobytego, korzysta pośrednio cała ludność. Dobrobyt robotnika angielskiego, będący następstwem świetnego w swoim czasie rozwoju przemysłu angielskiego, oraz dobrobyt robotnika amerykańskiego w czasie wojny, gdy przedsiębiorca amerykański na dostawach wojennych robił świetne interesy i ściągał złoto z Europy do Nowego Świata — są wymownymi przykładami tego twierdzenia. Obecna likwidacja całego szeregu sklepów i magazynów miejskich dowodzi znowu, do jakiego stopnia byt ich zależny był od ogólnego dobrobytu, a ten dobrobyt znowu zależny był od dochodów producenta. Nie można przytem zamykać oczu na inne jeszcze korzyści, które płyną dla całego społeczeństwa z nagromadzenia się znaczniejszych środków materialnych w rękach pewnych jednostek, jak np. ułatwienie im podniesienia swego poziomu kulturalnego, ułatwienie im robienia oszczędności ze swych

dochodów, a tem samym także ułatwienie procentu kapitalizacji (tak potrzebnego zwłaszcza w krajach ubogich w kapitał) i t. d. Pamiętać również należy, że najbogatsze nawet państwa nie mają dostatecznych funduszków, aby wysokością wynagrodzenia do służby publicznej (w wojsku, w dyplomacji, w sądownictwie, na katedrach uniwersyteckich i t. d.) zachęcić ludzi, naprawdę wybitnych, przez zofiarowanie im warunków, dających choćby w przybliżeniu te korzyści, które przy swych kwalifikacjach mogą uzyskać na innem polu (np. wybitny prawnik jako adwokat i t. d.), a niedostateczne uposażenie służby publicznej może sprawić, że garnąc się do niej będą jednostki mniej wartościowe. Jedyne wyjście z tego dylematu otwiera się w razie istnienia w społeczeństwie klasy ludzi, materialnie niezależnych, która służbę publiczną uważa nie za źródło zarobkowania, ale za zaszczytny, honorowy obowiązek obywatelski, spełniany w tym celu, aby spłacić wobec społeczeństwa dług moralny, związany z dobrobytem i pewną pozycją socjalną.

Nie myślimy jednak zaprzeczać, że nierówność majątkowa ma także swe ujemne strony, mianowicie, że z jednej strony wśród klas posiadających, nie zmuszonych skutkiem tego do ciężkiej walki o byt, może się wyrobić kwietyzm, miękkość charakterów i niezdolność do wysiłków, a z drugiej znowu strony jaskrawe różnice materialne są tym czynnikiem, który w życiu społecznym wywołuje najwięcej wzajemnych niechęci i może stać się przyczyną zaburzeń.

Aby niebezpieczeństwom tym zapobiec, powinna władza państwowa dbać o to, aby, o ile możliwości, przed każdą jednostką stała otworem możliwość stopniowego polepszania swego bytu wysiłkiem pracy i oszczędnością, a w dalszej konsekwencji możliwość wznoszenia się tą drogą, z pokolenia na pokolenie, na coraz to wyższy szczebel dobrobytu i pozycji socjalnej. W ten sposób jednostki energiczne będą dążyły do polepszenia swego bytu drogą zwiększonych wysiłków pracy, nie zaś przewrotów socjalnych, a obawa przed konkurencją tak wybijających się jednostek,

zahartowanych w ciężkiej szkole walki o byt, będzie skutecznie powstrzymywała klasy zamożne od popadnięcia w kwietyzm, któryby je musiał zepchnąć na stanowisko drugorzędne wobec ludzi nowych, mniej kulturalnych, lecz pełnych energii. **P o d k o p y w a n i e n a t o m i a s t p r a w a w ł a s n o ś c i** (w jego obszerniejszem, filozoficznym znaczeniu) **przenigdy nie może być lekarstwem na niekorzystne konsekwencje nierówności majątkowej**, gdyż zamiast polepszyć położenie materialne ludności, doprowadza nieuchronnie do jego pogorszenia przez dezorganizację produkcji lub wymiany dóbr gospodarczych oraz przytępienie energii i chęci do pracy.

W związku z tym problemem, wspomnieć należy o nauce Kościoła katolickiego, który powiada, że właścicielowi nie wolno źle korzystać ze swego prawa własności. Nauka ta stara, znana już Rzymianom (por. Gaius, I, 53: „male enim nostro iure uti non debemus“), a tylko przez Kościół katolicki ze szczególnym naciskiem wiernym przypominana, jako ich obowiązek moralny.

W dzisiejszym stanie rzeczy liczne ustawowe ograniczenia prawa własności (w cywilistycznym tego słowa znaczeniu), następnie ogólny zakaz szykany, pojawiający się w wielu kodeksach cywilnych oraz bardzo liczne ustawy, ograniczające swobodną wymianę dóbr pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami indywidualnymi, starają się zapobiegać w sposób energiczny złemu użyciu praw majątkowych; raczej nasuwać się nam mogą wątpliwości, czy obrane sposoby zapobiegania są właściwe i czy nie znajdujemy się obecnie w epoce prób nad znalezieniem właściwej drogi? Niejednokrotnie bowiem widzimy, że ograniczenia powyższe, zwłaszcza ograniczenia swobodnej wymiany gospodarczej pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami indywidualnymi, krępują nadmiernie życie gospodarcze i przez to w życiu stają się niewykonalne, a wywołana tem niechęć do nich

wytwarza wśród ludności automatycznie jakąś konspirację dla wzajemnego ułatwienia sobie obchodzenia dotyczących przepisów.

IV.

Jeżeli dziś widzimy, że ustawodawstwo niejednokrotnie podkopuje fundamenty prawa własności oraz, że nie może na razie znaleźć właściwej drogi i miary przy przeprowadzaniu ograniczeń prawa własności, które są konieczne dla zapobiegania złemu jego użyciu, to nie możemy widzieć w tem jedynie złej woli: sytuacja gospodarcza i polityczna jest dziś istotnie krytyczną i ci, którzy losami państwa obecnie kierują, stoją wobec poważnych trudności i dla chwilowego zażegnania tych trudności występują z projektami ustaw, podważających niepopularne dziś prawo własności (w jego obszerniejszem, filozoficznym znaczeniu). O ludziach tych można powiedzieć, że dla uniknięcia Charybdy wpadają na Scyllę. Nie mielibyśmy bowiem żadnej wątpliwości, jak osądzić postępowanie budowniczego, który przy przebudowie zachwianego domu osłabia fundamenty, a równocześnie zwiększa obciążenie. Do takiego jednak budowniczego podobny jest polityk, który idzie w kierunku najmniejszego oporu i podkopuje nieracjonalnemi ustawami prawo własności. Podkopanie bowiem prawa własności naraża na zmianę cały szereg warsztatów pracy, a w dalszej konsekwencji i zrujnowani przedsiębiorcy i pozbawieni pracy robotnicy zwiększają tylko dzisiejszą nadmierną podaż rąk do pracy i najczęściej — jako bezrobotni — zwiększają obciążenie trzymających się jeszcze, lecz już zachwianych płatników.

My, konserwatyści, nie zamykamy oczu na potrzeby zmian ustrojowych i gospodarczych, ale pragniemy, aby przy przeprowadzaniu tych zmian wykorzystano należycie doświadczenia historyczne i aby ci wszyscy, którzy mają

wpływ na kierunek nawy państwowej, dla chwilowego zażegnania trudności nie narażali losu przyszłych pokoleń.

W dalszej dyskusji zabrał głos ks. Arcybiskup Ropp, wysuwając oczywistą konieczność przeprowadzenia granicy w ogólnem pojęciu własności między prawem jej używania i nadużywania, zgodnie z etyką chrześcijańską, gdyż właśnie nadużywanie prawa własności wywołało uczucie krzywdy w szerokich masach i płodzi prawem reakcji doktryny wywrotowe.

P. dr. Ludwik Rząśnicki, radny m. Warszawy, przedstawił następnie ujemne skutki gwałcenia prawa własności w dziedzinie nadmiernie rozbudowanego i nazbyt długo prolongowanego ustawodawstwa o ochronie lokatorów, które — w pierwszej dobie powojennej ówczesną sytuacją po części może uzasadnione — przyniosło przez swą przesadę i prolongatę poważny uszczerbek dla normalnego rozwoju gospodarczego i ruchu budowlanego w państwie.

P. minister Niezabytowski, poddając następnie krytycznej analizie ustosunkowanie się społeczeństwa do prawa własności, jak ono ukształtowało się stopniowo aż do najnowszych czasów, podniósł, że jedyną naprawdę słuszną i sprawiedliwą linią wytyczną w tej dziedzinie, która może wskazać racjonalne wyjście ze splotu pojęć i stosunków, w jakich zasada własności dzisiaj się znalazła, jest realizacja zasad Chrystjanizmu, gdyż one tylko mogą skutecznie rozwiązać problem walki klasowej, będący owym taranem, który w praktyce słuszną zasadę prawa własności najbardziej rozbija.

Z kolei zabrał głos senator Jan Stecki mniejwięcej w następujących słowach:

Instytucja własności jest zjawiskiem społecznem, a więc musi przeobrażać się w miarę rozwoju społeczeństw,

z tego też powodu zmieniać się musi zarówno pojęcie o niej, jak i stosunek do niej państwa, które jest organizacją społeczności. W pewnym okresie dziejowym, w klasycznych cywilizacjach starożytności, własność nabrała pełni wyrazu, ujętego w formułę: „ius utendi et abutendi“. Zaatakowany został przedewszystkiem moment „abutendi“, pierwsze zaś przeciwko momentowi temu ciosy zadane zostały przez naukę Chrystusową. I nie w tem leży groźba dla porządku społecznego oraz cywilizacji, że dzisiaj już odbiegliśmy daleko od możliwości „abuti“. Niebezpieczeństwo zaczyna się dopiero z chwilą, której jesteśmy świadkami, kiedy podaje się w wątpliwość „ius utendi“.

Gdzie szukać należy źródeł, zagrażających własności? Nie w samych tylko teorjach przewrotowych, nie w samej tylko doktrynie socjalistycznej. I ona zapewne wpływ wywiera, mąci pojęcie o własności i szacunek dla niej, demoralizuje rzesze, wychowuje fałszywe poglądy, stwarza nieraz kierowników w walce z własnością. Niemniej przeto olbrzymia większość tych żywiołów, tych grup, które podważają własność, nie dąży do jej zniszczenia, lecz przeciwnie, rozumie wartość tej instytucji, chce zaś tylko poprostu odebrać ją jednym, oddać zaś innym. Jest raczej w a l k a z d o t y c h c z a s o w y m i p o s i a d a c z a m i, aniżeli z własnością, aczkolwiek rezultatem jest podważanie, niszczenie samej zasady, samej instytucji.

Pierwszem źródłem tragicznej i groźnej dla porządku społecznego oraz przyszłości cywilizacyjnej narodów walki jest—walka klas. Przesuwają się wpływy i siły, zmienia się układ dawnej równowagi, zjawiają się na widowni dziejowej klasy, które dążą do wydarcia znaczenia i własności tym, którzy dotąd je posiadali. Walka klas, przepojona ciasnym i bezwzględny egoizmem, wyzyskująca niejednokrotnie błędy lub może niekiedy i winy przeciwników, godzi w ich własność, posiłkując się fałszywymi argumentami, przewrotowymi teorjami. Drugiem źródłem, skąd wypływają zarządzenia, podważające własność, jest przerost

funkcji państwowych i związana z tem teoria o wszechmocności państwa. Przerost funkcji państwowych spowodowany został tyleż niezmiernem skomplikowaniem się życia społecznego, którego trudnościom nie może częstokroć już podołać akcja indywidualna, jak i nowemi, a rozległemi zadaniami, które spadły na państwo, zwłaszcza w dobie powojennej. Doba ta przyniosła też osłabienie inicjatywy jednostek, niewystarczalność i wogóle skurczenie się troski o potrzeby mas, która to troska zapładniała niegdyś intensywną akcję filantropji społecznej. Dziś punkt ciężkości opieki nad masami przesunął się w stronę ustawodawstwa państwowego, państwo zaś na tej drodze wdziera się w uprawnienia jednostki, a więc i w jej prawo własności. Z drugiej strony dla zyskania środków do pokrycia coraz to rosnących wydatków państwo nie waha się posuwać obciążeń tak daleko, że zadają one poważne ciosy własności.

Otóż, gdy walka klas jest wyrazem czynnym egoizmu ludzkiego, upaństwowienie zadań opieki społecznej jest skutkiem zaniku altruizmu, który powinien ożywiać samorzutne siły społeczne. Jeśli tak jest, to obecny kryzys pojęć o własności i samego instytutu własności pochodzi z przewagi w dobie obecnej egoistycznych stron natury ludzkiej nad jej stronami altruistycznymi. Teraz widzimy, jak ściśle wiąże się zagadnienie nasze z problemami etyki chrześcijańskiej i w jakiej mierze walka o własność jest walką o podniesienie życia etycznego, o zrealizowanie w życiu społecznem nauki Chrystusowej.

Dalsza dyskusja, wśród dużego zainteresowania zebranych, przeciągnęła się do późnej pory. Zabierali w niej głos jeszcze pp. prof. Tadeusz Hilarowicz, dr. Pogonowski, red. Józef Czarnecki i Kazimierz hr. Ronikier, oświetlając problem z różnych punktów widzenia, teoretycznie i praktycznie. Podniósł zwłaszcza prof. Hilarowicz znaczenie pew-

nego szczególnego rodzaju prawa własności, nabywanego przez jednostkę długoletnią jej pracą w postaci emerytury, której, o ile w danym zakresie pracy została raz zaprowadzona, odbierać lub nadmiernie skracać wysłużonemu pracownikowi nie wolno, bez wyraźnego pogwałcenia tego „prawa własności“, pracą nabytej.

Reasumując dyskusję, podniósł przewodniczący zasadnicze znaczenie tego zebrania, które powinno zapoczątkować zdecydowany zwrot — najpierw w umysłach — z dotychczasowej drogi powszechnych, coraz bardziej radykalizujących poglądów na ten *sui generis* „dogmat“ prawa własności i godziwego zarobku, na którym cały twórczy rozwój cywilizacyjny, największy bodziec dla pracy ludzkiej oraz to wszystko, co nazywamy zbiorowem mianem „radości życia“, się opiera.

CZY POLACY SĄ SŁOWIANAMI?

Powszechnie świat cały zalicza Polaków do narodów słowiańskich.

Sądząc z mowy naszej, nie ulegałoby to wątpliwości, język bowiem polski jest słowiańskim. Czy jednak ten jedynie wzgląd wystarcza, aby twierdzić, że naród polski tak, jak jego język, należy do rodziny słowiańskiej?

Oczywiście nie. Wystarczy choćby przytoczyć, jako przykład — Bułgarów, mówiących dialektem słowiańskim, pomimo, że są bezwzględnie Mongołami z pochodzenia. W dawnych kronikach i późniejszych dokumentach z czasów przedrozbiorowych, o ile wiem, przodkowie nasi nie nazywali siebie Słowianami, tylko zawsze — Sarmatami.

Dlaczego tak było? Najwyraźniej mieli w tem rację tradycyjną, a to jest niezaprzeczenie jeden z najsilniejszych argumentów—dowodów pochodzenia.

A skoro tak, to kimże byli Sarmaci?

Szajnocha w swem dziele „Lechicki początek Polski“ (str. 102) pisze:

„... Władali jeszcze w ziemi nadwiślańskiej jacyś Sarmaci“ i dalej: „ile że w najstarożytniejszych glossach niemieckich powiedziano wyraźnie: Sarmaci, tyle co Normanowie, Nordman — Sarmata“ (Graff, II, 741).

Saski kronikarz Werner (Leibnitz III, 21, 630) pisze: „Opowiadają, iż niektórzy ze starodawnych Saxonów pogańskich uszli w strony Sarmackie i po dziś dzień nazywają się Żmudzią (Sameitae)“.

Szajnocha kładzie nacisk na słowo Lag, czyli Lach, Lech, co po skandynawsku ma znaczyć towarzyszyć (towarzysze wyprawy, późniejsi towarzysze pancerni). Tem się tłumaczy, że Polaków nazywano Lachami.

Szajnocha na str. 74 mówi:

„W poszukiwaniach kronikarskich wzmianek o Lachach uderza częste używanie tej nazwy w kronikach ruskich, a zupełne o niej milczenie w kronikarstwie niemieckim... Pochodzi to z tej przyczyny, iż Niemcy wieku VIII i następnych, jako obcy, a nawet wręcz przeciwni obyczajom normańskim, nie znali miejscowego znaczenia wyrazu Lach i nie przypominali sobie przeto Lachów w Polakach. Waregscy zaś Rusini, jako ziomkowie i współtowarzysze Lachów północnych, doskonale rozumieli tę nazwę i najchętniej dawali ją Polakom. Sądząc z Nestora ruskiego i kilku z XIII i XIV w. kronik polskich, ma się przekonanie, że Lachy nie są Słowianami“.

Dalej (str. 99): „...Kronikarze polscy oznajmiają raz po raz, że Lechici nazywali się inaczej Wandalitami, iż praojcem Polaków był Wandal—Vandalus, pater Polonorum. Wandalici zaś i Vandalus są to nazwy mieszkańców północnej Danii“.

Dalej (str. 101): „...Już w wieku X poczytywali się Duńczykowie i Polacy za sprzymierzeńców od niepamiętnych czasów, a kiedy w tej porze pierwszy z dokładniej znanych królów polskich, Mieczysław, czyli Burysław, związał stosunki pokrewieństwa z królewskim domem Danji, mowa jest „o zachowaniu starożytnych sojuszów między obydwoma narody — *servatis antiquis utriusque regni foederibus*“ (Snorro Sturl, 245).

Gautier, profesor Uniwersytetu w Algierze, powołując się na Delbrücka (*Geschichte der Kriegskunst im Rahmen der politischen Geschichte*) i na Rostowcewa (*Iranians and Greeks in South Russia, Oxford 1922*), dowodzi, że Wandale poprzedzili Gotów nad Bałtykiem, bo... „gdy Gotowie wylądowali, zastali już Wandalów, osiadłych u ujścia Odry (nad Bałtykiem)“.

Wandale ci byli to bezwątpienia ci sami Lechici, Polacy, nasi przodkowie, którzy zamieszkiwali ziemie Sarmac-

tów i jednakowego z nimi byli pochodzenia. Wiemy, że następnie ziemie sarmackie podległy najazdowi Gotów. Mogło to być w II wieku naszej ery. Byli oni skandynawskiego pochodzenia.

Szajnocha pisze (str. 104). „...Przyznawali się Polacy do nazwy Gotów, noszą ją w sławnym nadpisie na nagrobku Bolesława Chrobrego — REGNUM GOTHORUM SEU POLONORUM — i lubowali się do późniejszych czasów w podobnież normańskiej nazwie Sarmatów...“.

W czasach największych zdobywców normandzkich nie słyhać, „...aby Skandynawowie podejmowali kiedykolwiek wyprawy na Pomorze“ (str. 74). Łatwo to sobie wytłómaczyć, gdy pamiętać będziemy, że Polacy, którzy się jeszcze wówczas uważali za Sarmato-Wandalo-Lechito-Gotów, byli w braterskich stosunkach z Normanami.

Wielkim badaczem etnografji był Gobineau (hr. Józef Artur) i jemu zawdzięczamy epokowe dzieło: *Essai sur l'inégalité des Races Humaines*. Wydane po raz pierwszy w 1858 r., przeszło prawie niepostrzeżenie. Dopiero rozreklamowali to dzieło niemieccy uczeni w dziewięćdziesiątych latach zeszłego stulecia, poczem doczekało się tłómaczenia angielskiego i niemieckiego.

Dlaczego to dzieło tak bardzo się Niemcom podobało, że mu dali tak wielki rozgłos? Gobineau, wielki erudyta i badacz, wyraził tezę, że wszelkie zdobycze ludzkości w dziedzinach wszelkich: ducha, myśli, moralności, wiedzy, architektury, sztuki, poezji i t. d., należy zawdzięczać rasie aryjskiej.

Cytuje on wielkie epoki dynastji egipskich, powołuje się na historję Grecji i Rzymu i wszędzie upatruje najwspanialszy rozwój dzięki przyplýwowi krwi aryjskiej, który się zaznaczył szlachetnymi czynami, pięknem architektury i głębią myśli ludzkiej.

Stąd czyni wniosek, że im czystsza jest w narodzie kres aryjska, tem tęższa jest pod każdym względem rasa

i tem większą ma przed sobą przyszłość. Opierając się na danych, zdobytych za czasów drugiego cesarstwa przy badaniu dolmenów, twierdzi Gobineau, że pierwotną rasą, zamieszkałą w Europie, była żółta, do niej bowiem bezwątpienia należały czaszki i szkielety, znalezione w tych grobowcach.

Nikt w przybliżeniu nawet wiedzieć nie może, jak długo trwała tak zwana przez uczonych niemieckich wędrówka narodów.

Pewnem jest jednak, że w ciągu setek, może tysięcy lat, trwały migracje aryjskich plemion, przez Iran i Kaukaz spływały na europejski kontynent i z biegiem wieków, częściowo asymilując się z aborygenami, częściowo ich wypierając, wytworzyły rasy mieszane, nawpół już tylko aryjskie, do których Gobineau zalicza Celtów i Słowian.

Napływ późniejszy aryjskich plemion, do których Gobineau zalicza Sarmatów, Franków, Burgundów, Belgów, Teutonów, Germanów, Skandynawów, Gotów, Normanów, nastąpił na kilka wieków przed początkiem naszej ery i w pierwszych wiekach tejże. Jest więc zdania, że, jako późniejsi przybysze, mieli mniej czasu na zmieszanie się z gorszymi rasami (Celtowie i Słowianie), zaludniającymi ówczesną Europę i że są przeto w swej aryjskości czystszy, a zatem więcej warci i do nich ma należeć przyszłość Europy, a może i świata całego.

Tem się tłumaczy, że Niemcom tak trafiły do przekonania zapatrywania Gobineau. Dziwić się jedynie należy, że tyle czasu było im potrzeba, aby dzieło Gobineau ocenić i dla swych celów wyzyskać.

Potrzebnem to się im stało dopiero, kiedy w epoce bismarkowskiej wybujała pycha niemiecka szukała potwierdzenia tego samozachwytu u obcych.

Jak to zwykle czyniono w wieku XIX, zalicza Gobineau Polaków do Słowian, czyli — według niego — do

mieszkańców, zaledwie napół aryjskich, słowem do rasy mniej czystej, podrzędniejszej.

I w tem się kapitalnie myli, oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy.

Wyliczając szeregi różnych aryjskich plemion, które zalicza do najlepszych, wymienia też i Sarmatów, którzy zamieszkiwali obszar od Bałtyku niemal do Pontus Euxinus, czyli morza Czarnego, sięgając na zachód do Pannonji, czyli obecnych Węgier, a zatem bardzo wielką przestrzeń. Mówi następnie o nich, że nie wie, co się z nimi stało. Musieli zniknąć. Jest to oczywiście rzecz niemożliwa. Naród tak liczny, jak Sarmaci, skoro zamieszkiwali tak obszerne kraje i przez wiele lat prowadzili wojnę z Rzymem, w której chociaż byli pokonani, nie byli jednak ujarzmieni i przez zwycięzców rządzeni, nie mógł bez śladów zagaść, zniknąć tak, by o nim nie wiadano, co się z nim stało w czasach naszej ery.

Z historii Rzymu wiemy, że Sarmaci byli sojusznikami Mitrydata Wielkiego, króla Pontu, który kilkadziesiąt lat walczył przeciw Rzymianom i w końcu był przez nich pokonany w 63 roku przed Narodzeniem Chrystusa, poczem chciał się otruć. Nie ulegając jednak działaniu trucizny zażytej, do której się był przyzwyczaił, kazał siebie zasztyletować niewolnikowi.

Królestwo Pontu przestało istnieć w roku 62 przed Nar. Chr. i stało się prowincją rzymską.

Pokonani jednocześnie Sarmaci nie byli przez Rzym niepokojeni w swych dalekich od niego krajach. Rzym ich tylko częściowo ujarzmił, podbijając później Pannonję, którą też zamieszkiwali Sarmaci.

Gobineau w swych poszukiwaniach nie natrafił widocznie na fakt, że Polacy *t r a d y c y j n i e* się trzymali pochodzenia sarmackiego i nie przestawali się tak nazywać.

Ustało to dopiero stopniowo po utracie naszej niepodległości w wieku XIX, kiedy już żadnego głosu nie mie-

liśmy w Europie. Po tak niebywałem upokorzeniu narodem, jakim były rozbiory, mieli Polacy ważniejsze troski na głowie, niż dowodzić przed światem i przed swymi wrogami, że się ich bratem nie jest nawet z pochodzenia.

Być może, że wśród klęsk narodowych i nić tradycji się urwała, a płytkość sądu, opartego jedynie na języku, przemogła tradycję.

To, że w ciągu szeregu wieków i w czasach największej potęgi naszej Rzeczypospolitej nazywaliśmy siebie Sarmatami, dowodzi, mojem zdaniem, żeśmy z tego pochodzenia byli dumni i ze względu na pokrewność języka do wspólnego pochodzenia z Moskalami nie przyznawaliśmy się, a przeciwnie, mieliśmy siebie za coś lepszego, niż otaczający nas sąsiedzi. Nie o to mi jednak chodzi, ale o sam fakt podawania się za Sarmatów.

Gautier w swem dziele „Genseric, Roi des Vandales“, powołując się na Delbrücka (*Geschichte der Kriegskunst im Rahmen der politischen Geschichte*) i na Rostowcewa (*Iranians and Greeks in South Russia*), pisze, że Sarmaci zjawili się w stepach Rosji południowej około II wieku przed Chr. Jeden ustęp z Poliba wskazuje ich nam w 179 r., jako „mocno osiadłych pomiędzy Dnieprem i Donem i wypierających Scytów“ (str. 74).

„Sarmata — powiada Rostowcew — a szczególnie Allan, był chroniony tak, jak jego koń, przez pancerz z łuski (*éclaille*) lub przez kolczugę (*cotte de mailles*), czasem przez pancerz z żelaza. Miał hełm (*heaume*) koniczny z żelaza“ (str. 121).

Rzecz znamienita — miał strzemiona. Starożytność grecko-rzymska nie знаła strzemion. Pierwsze strzemiona, o których wspomina historja — wedle Gautier — były znalezione w grobowcach sarmackich.

Główną bronią była długa i ciężka lanca (pika); była to ciężka kawalerja szturmowa, konna falanga (Gautier, str. 80).

Zdaniem tegoż Gautier, pierwszą falangą konną była falanga Aleksandra W. Jeżeli zważymy, że Aleksander W. panował od 336 do 323 przed Chr., to możemy przypuszczać, że bezpośrednio od konnych falang Aleksandra Sarmaci przejęli ten szyk bojowy. Kto wie zresztą, czy nie brali udziału w wyprawie Aleksandra. Pochodzili przecież z Iranu!

Jest rzeczą oczywistą — mówi Gautier — że Germanowie wschodni wprowadzili (importé) na Zachodzie rycerza, zakutego w żelazo ze strzemionami. Ale niemniej oczywistem jest, że zapożyczyli te rzeczy od Sarmatów (str. 80).

Wielka rola Sarmatów, jako wychowawców Zachodu, jest uwydatniona przez Rostowcewa, gdy mówi o klejnotach, znalezionych w ich grobowcach. Typ klejnotów greckich jest całkowicie zarzucony. Już nie wykwiłtność formy, nie proporcje, nie wykończenie artystyczne interesują artystę, lecz przede wszystkim bogactwo i polichromja zewnętrznego upiększenia. . . Wytłaczanie, filigranowość — wszystko jest podporządkowane barwie, którą się otrzymuje przez wstawianie drogich kamieni (str. 132).

Patrząc na wizerunki wydobytych z grobowców sarmackich amfor, waz, butli i broszek z drogich metali, Gautier mówi o nich, że to są „klejnoty Merowingów“. Były one niezawodnie zaniezione na zachód przez Germanów wschodnich. Ale są one klejnotami sarmackimi (str. 83).

Czyż więc nasza ciężka husarja skrzydlata z kopjami nie jest spuścizną sarmacką?

Z powyższego widzimy, że Polacy mogli się szczycić ze swego pochodzenia sarmackiego. Gobineau zalicza Sarmatów do najlepszych szczepów aryjskich. Nie ustępujemy w swych zdolnościach indywidualnych skandynawskiej, anglosaskiej lub germańskiej rasie, lecz co do tej ostatniej, przewyższamy ją zdolnościami i to nawet znacznie. Powiedziałbym nawet, że nasze niepospolite uzdolnienia narodowe są poniekąd

przeszkodą w osiągnięciu realnych korzyści.

Zbyt łatwo przychodzi nam wogóle wszelka praca umysłowa, bądź fizyczna, by się nad nią dobrze zastanowić, by ją wykonywać systematycznie, dokładnie, wytrwale, pracowicie. Bierzemy wszystko zbyt powierzchownie, bystrość bowiem naszego umysłu nas ponosi i nie dajemy sobie czasu na zastanowienie. Natomiast ciężkość umysłowa Teutonów została przez sprawiedliwość natury skompensowana pracowitością, wytrwałością, dokładnością myślenia i wykonania. A w życiu narodowym, a szczególnie państwowym, dają te ostatnie zalety niezaprzeczenie ogromną przewagę. Musimy nad tem dobrze się zastanowić i z wad, wypływających właśnie z naszych zalet, się wyleczyć.

Według Szajnochy, z księciem Popielem miało się skończyć panowanie Lechitów (około 840 r.).

Zarzucono — jak powiada Długosz — dawne imię Lechitów, a przyjęto na zawsze nazwę Polaków (Szajnocha, str. 180). Jednak „prawie wszystkie urządzenia i zwyczaje królestwa Piastów miały przez długie wieki wyraźnie cechę lechicką...“.

W powyższem widzę potwierdzenie mego zdania, że Piastowie nie byli Słowianami. Jeśli z Popielem ustało panowanie lechicko-normańskich najeźdźców, to rządy wróciły do Sarmatów — Piastów, którzy od wieków na tej ziemi przebywali. Tem się więc tłumaczy, że wszelkie prawie „urządzenia i zwyczaje“ i nadal miały „wyraźnie cechę lechicką“, t. j. aryjską, co tak było pokrewne Sarmatom.

Tak mi zatem przedstawia się przeszłość Polaków.

Na parę wieków przed Chr., w swej wędrówce z Azji przez Iran (gdzie mowa ich nabrała djalektu irańskiego) i Kaukaz, aryjskie plemię sarmackie osiadło w Europie na całej przestrzeni pomiędzy morzem Czarnem a Bałtykiem. Mogło ono, jak to twierdzi Rostowcew, przebywać dłużej

najpierw pomiędzy rzekami Donem a Dnieprem i dopiero później przesunąć się więcej na zachód, zajmując ziemie pomiędzy Dnieprem, Pannonją i Bałtykiem, aż po Odrę.

Będąc bardzo płodnymi, jak wszystkie aryjskie plemiona, Sarmaci łatwo wchłonęli w ciągu kilku wieków współzycia nieliczny pierwiastek słowiański, autochtonów tych ziem, przejęli stopniowo ich gwarę słowiańską i najzupełniej ich zasymilowali.

Aryjskie również plemiona skandynawskie, jak Wandalowie — Lachowie, swymi najazdami na Pomorze sarmackie utrwaliли swe arystokratyczno-militarne panowanie nad Sarmatami. Stąd pochodzą podania o Wandalu, ojcu Polaków, stąd również podanie o Krakusie i Wandzie.

Kiedy około II wieku po Nar. Chr. wylądowali u ujścia Odry Gotowie, również Skandynawowie, zastali już tam panowanie Wandalów. Tak mówi Gautier (str. 91).

Gotowie wyrugowali Wandalów, którzy mieli wywędrować do Pannonji (sarmackiej) około 179 roku naszej ery i tam przebywali jeszcze w 335 r. (Jordanes i Cassiodor). Byli oni tam do początku V wieku, kiedy najazd Hunów zmusił ich do dalszej wędrówki przez całą Europę do półwyspu Illiryjskiego i w końcu do Afryki (Gautier, str. 92 i następne).

Po wyrugowaniu Wandalów z Sarmacji nadbałtyckiej zapanowali nad nią Gotowie, również arystokratyczno-militarnie. Stąd podanie o pochodzeniu gockim i dlatego nadpis na nagrobku Bolesława Chrobrego: „Regnum Gothorum seu Polonorum“ (Szajnocha, str. 104).

Rodzona siostra króla Bolesława Chrobrego, Sigrida, była za królem szwedzkim Erykiem. Po śmierci tegoż wyszła za mąż za zdobywcę Anglii, króla Swena. Mieli oni dwóch synów, Harolda i Kanuta. Tenże Kanut Wielki przewany był Królem chłopów (1017 r.).

To, że z księciem Popielem miało się skończyć panowanie Lechitów około 840 roku — wedle Szajnochy — a miało nastąpić panowanie słowiańskich Piastów, przed-

stawiam sobie w ten sposób, że Popiel był ostatnim z pochodzenia Wandalów-Lachów, który, pomimo najścia gockiego, utrzymał się u władzy (choć plemię Wandalów przytem wyemigrowało). To się wszystko łatwo tłómaczyć daje, gdy pamiętać będziemy o tem bliskim pokrewieństwie pomiędzy szczepami skandynawsko-duńskimi, jakimi byli Lachowie, Wandale, Gotowie, Normanowie, Waregowie.

Po Popielu władza wróciła do Piasta—Sarmaty.

Jeżeli Bolesław Chrobry był królem gockim, czyli polskim, dowodzi to, że najeźdźcy Gotowie całkowicie wsiąkli w ludność miejscową, która — wedle Długosza — od śmierci Popiela zaczęła się nazywać Polakami.

Panowanie Wandalów, Lechitów, Gotów musiało pozostawić krew skandynawską, normandzką, conajmniej w warstwach przodujących, ale cały naród polski, jeśli nawet ją też po części otrzymał, pozostał w gruncie sarmackim.

Wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu, że Polacy nie są Słowianami. Nie ma to oczywiście znaczyć—jak to wyżej zaznaczyłem — że wcale pierwiastku słowiańskiego w sobie nie mamy. Po szeregu bowiem wieków współżycia różnych ras nie może być rasy całkiem czystej, czyli wolnej od wszelkiej przymieszki.

To samo mniej więcej działo się ze szczepami teutońskimi, frankońskimi, gallickimi, saskimi i germańskimi, które się zmieszały z Celtami i Słowianami, aborygenami tej części Europy (po ich zmieszaniu się z rasą żółtą), dokąd te szczepy w swych wędrówkach były zaszły.

Charakter narodów jest bezsprzecznie zależny od krwi, krążącej w ich żyłach, zależny jest od pochodzenia.

Porównując charakter polski z charakterem Rosjan, Czechów lub Serbów, musimy przyznać, że się bardzo różni od wymienionych. Nie chcę i nie mogę wchodzić—bom do tego ani przygotowany, ani powołany — w analizę,

w badania i dociekania, które najdokładniej te różnice uwydatnić mogą, sądzę jednak, że znając dobrze historję wymienionych Słowian i naszą własną, znajdziemy tak wielkie różnice zachowania się lub działania tych ludów w poszczególnych momentach historycznych, że to doprowadzić musi nas niechybnie do uznania braku wspólnych rysów lub cech charakteru, co miałyby oznaczać odmienność krwi, czyli odmienność pochodzenia.

Nie mam tu na myśli czynu lub zachowania się jednostki, jak naprz. Kaspra Karlińskiego lub ks. Kordeckiego z oblężenia Częstochowy przez Szwedów — chodzi mi o czyny zbiorowe narodu całego.

A więc zadałbym pytanie, czy mógłby mi kto wskazać z historji któregobądź z narodów, bezsprzecznie słowiańskich, fakt historyczny w rodzaju Unj Horodelskiej i Lubelskiej? Czy też w rodzaju odsieczy wiedeńskiej króla Jana Sobieskiego?

Zapytałbym się także, czy w naszej przeszłości historycznej można wymieniç coś, przypominającego choćby w słabym stopniu rozbiory Polski, lub dość świeży fakt z 1920 r. napadnięcia znienacka na nas przez Czechów w celu wyzyskania niezmiernie ciężkiego naszego położenia wobec hord bolszewickich i odebrania naszej ziemi Cieszyńskiej z Karwiną, ziemi w swej większości polskiej?

Zdaje mi się, że się nie mylę. Podobnych przykładów w naszej przeszłości nie mamy i tem sobie tłumaczę, że prawie nie mamy krwi słowiańskiej w naszych żyłach.

Byłbym bardzo rad, jeśliby moje powyższe rozważania wywołały wymianę myśli i wypowiedzenie się mężów nauki i autorytetu.

Karol Niezabytowski.

Zasadniczo słusznie apeluje Szanowny Autor, w swej skromności, do kompetentnej, fachowej wiedzy, aby się w poruszonym przez niego problemie wypowiedziała. Ale

wiemy dobrze, jak ostrożną, może aż nadmiernie ostrożną i przez to właśnie nazbyt nieraz „konserwatywną“ jest owa oficjalna, fachowa nauka w torowaniu nowych dróg, prawd i pojęć. Nie krytykujemy tu, czy dobrze, czy tamująco działa taka taktyka — konstatujemy tylko, że tak bywa.

Dlatego śmiała inicjatywa badaczy i myślicieli, nie posiadających wprawdzie stygmatu oficjalnej wiedzy, niemniej jednak studjujących na serjo, z zamiłowaniem, różne zagadnienia, musi nieraz torować drogę nowym koncepcjom i badaniom, zanim zajmą się nimi ludzie, fachowo do tego powołani.

Powtóre jesteśmy świadkami w ostatnich zwłaszcza dziesięcioleciach rozwoju skrupulatnych badań naukowych, w pierwszym rzędzie historycznych i archeologicznych, że wiele podań i mitów, uważanych do niedawna za poetyczne legendy, nabiera kształtów prawdy historycznej, po wyłuskaniu ich oczywiście z obsłonek i naleciałości tradycyjnej fantazji. Wiele „prawd“, uważanych do niedawna za niewzruszone i stanowiących podkład „naukowy“ nawet dla podręczników szkolnych, obala dzisiejsza krytyczna metoda badawcza, oparta na skwapliwych poszukiwaniach i odkryciach nowych źródeł, a przeciwnie, niejedna, tradycją przekazana „bajka“ staje się prawdą — historycznym pewnikiem.

Wiemy wreszcie, jak znaczne różnice dzielą jeszcze naszych przedstawicieli fachowej, oficjalnej wiedzy zwłaszcza na punkcie pochodzenia dzisiejszego polskiego narodu. Dlatego nie jest bynajmniej zarozumiałością ze strony poważnego badacza-amatora, jeżeli usiłuje i ze swej strony przyczynić się do rozjaśnienia tego, z różnych względów pierwszorzędnego dla nas problemu i uwagę uczonych i całego społeczeństwa w tym kierunku zwrócić.

Otóż zdaje nam się, że w rozwiązywaniu tak skomplikowanego problemu, jakim autor powyższego artykułu się zajmuje, powinna głos zabrać — przynajmniej w pierw-

szej inicjatywie — nietylko sucha, twarda, ścisła wiedza fachowa, a więc nietylko owo mickiewiczowskie „mędrca szkiełko i oko“, ale również cytowana w tym samym wierszu poety „wiara ludu“ — czyli tradycja i pewne, niejako podświadome przekonanie ogółu. A to przekonanie, poparte zresztą doświadczeniem i obserwacją każdego dnia, wykazuje nam niemal niezbitcie, że dzisiejsi Polacy różnią się głęboko od wszystkich innych dzisiejszych Słowian, razem wziętych, pewnymi cechami kultury, temperamentu, charakteru i mentalności, których badaczowi lekceważyć nie wolno. Pozwalamy sobie nawet twierdzić, że pilna obserwacja tych różnic rzucić może niekiedy jaśniejsze światło na problem, tak dalece zawily i pogrążony w otchłani wieków, niż niejedno historyczne źródło, przez naukę respektowane i cenione, które jednak może być zbyt fragmentarycznym, zbyt jednostronnym, a nawet błędnym.

Wychodząc z tych założeń, przychylamy się z całym wewnętrznym przekonaniem i sentymentem — dopóki oficjalna nauka kategorycznie inaczej się nie wypowie — do twierdzenia, że to wszystko co ujęte jest zbiorowem mianem „ducha dziejów Polski“, nie jest słowiańskiego pochodzenia. Mentalność polska, ilustrowana tysiącnymi przykładami naszej tysiącletniej już historii, jest diametralnie różną od mentalności Moskali, Rusinów, Czechów i Słowian południowych. My nie byliśmy nigdy Slawi czyli sclavi, uginający się mięko przed obcą kulturą, ale przeciwnie, byliśmy zawsze czemś innym, o charakterze wybitnie zachodnim, indywidualnym, niestety aż nawet anarchicznym w niektórych porywach. Byliśmy nadto zawsze zdolni do takich ideowych, rycerskich niekiedy niemal aż donkiszockich czynów, jakich nie spotyka się wcale u narodów prawdziwie słowiańskich. To też ironiczne wyrażenie niemieckie „der noble Pole“ kryje w sobie nietylko złośliwość naszego odwiecznego teutońskiego wroga, ale jest również podświadomem

z jego strony uznaniem specyficznej cechy polskiego charakteru. Wszak w ten sposób nigdyby się Niemiec o jakiegokolwiek innej narodowości słowiańskiej nie wyraził!

A zresztą i nasz herbowy orzeł biały nigdy na ziemiach polskich — o ile nam wiadomo — nie żył i nie żyje. To przecież typowy mieszkaniec północnych, skandynawskich krajów...

Nie — autor ma rację — nie jesteśmy słowiańskiego pochodzenia. To tylko pewna domieszka tubylczej ongiś ludności słowiańskiej, której język — ale język bez kultury — przyswoili sobie rycerscy zdobywcy z północy, powoduje u nas pewną „miękość słowiańską“, pewną niedbałość, chęć wygody, brak troski o jutro. Ale pozatem bliżsi mentalnie czujemy się duchowi zachodu, bliżsi zwłaszcza łacińskiej kulturze, niż pierwiastkom specyficznie słowiańskim. Polak — to żołnierz. A cała reszta Słowiańszczyzny nie wytworzyła nigdy typu prawdziwego żołnierza. Żaden husarz czy ułan, prawdziwie słowiański, nie rzucał się z kopją czy lancą na przemożne wrogów szeregi, nie zdobywał w zawadjackim porywie Sommo-Sierry. Nie czynił tego, bo go nigdy nie było, bo typ rycerza i żołnierza polskiego jest typem niesłowiańskim, którego początków szukać trzeba istotnie u Normanów i Sarmatów.

Ważne to dla przełamania owej wyższości i pogardy, z jaką zachodni cudzoziemcy odnoszą się nieraz do polskiego „Słowianina“. Ważne zwłaszcza dla odparcia niemieckiej megalomanji, gdyż — prawdę mówiąc — więcej jest u Polaków rycerskiego pierwiastku wolnych Wikingów północy, którzy w zaraniu średniowiecza częścią mieczem, częścią kulturą świat zachodni podbili, niż u ociężałych Niemców, o zasadniczo niewolniczej mentalności, chociaż ta coprawda duże przysługi im oddała i oddaje, wyrabiając w nich jedyną może w swym rodzaju karność na świecie.

Nie chcemy jednak naśladować hitlerowców i nowo-

czesnej propagandowej nauki nacjonalizmu niemieckiego w naciąganiu historii do celów narodowo-politycznych. Ale nauka polska zająć się powinna istotnie bardzo na serio i bardzo obiektywnie tym problemem sarmackiego czy nor-dyjskiego pochodzenia Polaków, gdyż chodzi tu nietylko o ważki interes naukowy, ale i o lepsze ugruntowanie naszego „stanowiska społecznego“ na świecie.

Wir sind auch ein Herrenvolk! — może nawet lepszy rasowo od Niemców, a już bez porównania lepszy od prus-kich mieszańców. I tego trzeba dowieść!

Redakcja.

WSKRZESZENIE TRÓJPRZYMIERZA.

Huczne a rzewne manifestacje „tradycyjnej“ sympatji i przyjaźni celebrytuje się raz w raz w Budapeszcie i w Warszawie. Bo to Węgier i Polak dwaj bratanki i t. d... Wzajemne wizyty i zjazdy prasowe, polityczne i społeczne, zacieśnianie węzłów naukowych i kulturalnych, oficjalne uroczystości pamiątkowe, przelewne tokajem bankiety, ba, gdzieniegdzie nawet szept o konieczności wspólnej granicy polsko-węgierskiej i t. d.

Tyle poezja. A co mówi rzeczywistość?

Od chwili podpisania traktatu pokojowego, podyktowanego im nieopatrznie przez „zwycięską w wojnie światowej demokrację“, który w każdym razie nadmiernie i niesprawiedliwie skurczył ich stan posiadania na rzecz zbyt zachłannych i nie mniej nieopatrznych sąsiadów, wyteżyli Węgrzy wszystkie siły w kierunku rewindykacji, propagując ten swój postulat piórem, słowem i wszelkimi sposobami propagandy i polityki po całym świecie.

W zasadzie słusznie. Dwóch zdań być nie może co do faktu, że tych „wielkich pięciu“, którzy w paryskich rozmowach o losach Europy chwilowo decydowali, postąpiło niezmiernie lekkomyślnie i niesprawiedliwie gwałcąc naturalne, łukiem karpackim od wieków ustalone, naturalne granice państwa Korony św. Szczepana i wykrawając z tego obszaru tylko niewielki skrawek dla narodu węgierskiego, którego znaczne mniejszości znalazły się w granicach nowej Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii. Znowu zbankanizowano i tę część Europy, stwarzając nowe zarzewie, nową przyczynę przyszłych zatargów zbrojnych. Dziwnie małostkowo, po doktrynersku i powiedzmy otwarcie —

wprost niemądrze — rozumowali i działali ci właśnie, którzy chcieli z Wersalu dyktować trwały pokój światu!

Historja, aczkolwiek młoda jeszcze w tym zakresie i przez to nie dość jeszcze obiektywna i nie dość uzgodniona, ocenia już dziś jednak bardzo krytycznie nazbyt grube błędy tego doktrynerskiego uporu i naiwnego działania, które postawiło właściwie wszystkie problemy europejskie w pół drogi i pod wielkimi znakami zapytania.

Krzywda więc stała się Węgróm i słusznie o jej naprawę zabiegają. Ale jak zabiegają?

Najpierw, przez szereg lat, zabiegali o sympatję całej Europy. Zdaje się, że zbyt szeroki i wątpliwy był ten program i dlatego nie przyniósł pożądanego rezultatu. Rewizja traktatu, umożliwiona w teorji listem prezydenta Millerranda, towarzyszącym dokumentowi traktowanemu z Węgrami, zaczęła stawać się coraz większą teorją, bez żadnych widoków realizacji. Wówczas — stosunkowo niedawno — wstąpili Węgrzy na inną drogę.

Na drogę, która nie może nam być ani sympatyczną, ani obojętną, gdyż zaczyna godzić w najżywotniejsze interesy, wprost w bezpieczeństwo naszego państwa.

Związali się najpierw z Włochami. Ten pierwszy etap mógłby nam być obojętny, a nawet sympatyczny. Ale wnet tendencje proniemieckie, które istniały na Węgrzech jeszcze przed wojną — jako kontrakcja przeciw wpływom i tendencjom supremacyjnym Austrii — i wzmogły się w pewnych sferach węgierskich jeszcze bardziej po wojnie, zaczęły brać górę i oczy nie tylko społeczeństwa, ale i międzynarodajnych polityków węgierskich kierować coraz bardziej ku Rzeszy. Zaczęły się raz po raz transporty broni z Włoch, które po dziś dzień jeszcze nie ustały, czego niedawne dowodzą odkrycia, tendencje proniemieckie akcentują się coraz wybitniej, aż wreszcie — podobno zeszłego roku — stanął rodzaj paktu zaczepno-odpornego między Węgrami, Rzeszą i Włochami, którego szczegółów nie znamy, ale ogólne cele bardzo łatwo można sobie wyobrazić. Aspira-

cje rewindykacyjne Węgier, wyraźnie zaborczy imperjalizm włoski, marzący o restytucji śródziemno-morskiego władztwa cesarów i niemiecki duch rewanżu — w którym zgodne są mniejwięcej wszystkie sfery i partje polityczne Niemiec — podały sobie rękę, wskrzeszając, łącznie z ideą austriackiego Anschlussu, dawny, bismarkowski Dreibund, mający przywrócić mutatis mutandis dawny stan rzeczy w środkowej Europie.

Trudno zbyt o to Węgrów ganić, trudno im się nawet dziwić, bo tonący brzytwy się chwyta. Czy pomoc niemiecka spełni węgierskie nadzieje, czy pp. Hitler et consortes zechcą dobyć miecza dla celów restytucji państwa Korony św. Szczepana, a czy raczej nie potraktują aspiracji węgierskich jako straszaka na naiwnych francuskich demokratów, aby wyłudzić znowu dalsze korzyści, a potem o Węgrzech poprostu zapomnieć — to rzecz inna, którą pozostawiamy doświadczonej rozwadze węgierskich dyplomatów. Nas obchodzi natomiast tylko fakt rzucenia się Węgrów w objęcia Niemiec i perspektywa przecięcia Europy przeszło stumiljonowem Trójprzymierzem.

Rzecz ta nie wymaga u nas dyskusji, ani argumentacji. Niebezpieczeństwo takiego trójprzymierza, a nawet tylko tendencje w tym kierunku ze strony Węgier są poważnem niebezpieczeństwem i to niebezpieczeństwem bezpośredniem, gdyż sama myśl takiego bloku jest atakiem na nasze prowincje zachodnie, na dostęp Polski do morza. A w orbicie całej tej koncepcji zmartwychwstaje znowu upiór znieprawionej i groźnej dla całego kontynentu Mitteleuropy — owego wojennego wytworu austriackich i niemieckich sztabów generalnych oraz megalomanji pruskiej.

I w tem leży sedno sprawy, przyczem współdziałanie Włoch jest oczywiście tylko chwilową taktyką cezaryzmu Mussoliniego, naciskiem na Francję i odwróceniem jej uwagi od włoskich tendencji całkowitego opanowania brzegów Adryjatyku i — dalszej budowy włoskich pancerników. Niemniej jednak groźba Dreibundu i zarazem Mitropy, przy

rozpaczliwem współdziałaniu Węgier, staje przed nami jako niebezpieczeństwo praktyczne i realne.

Równocześnie projektują i ogłaszają Węgrzy z emfazą wielkie uroczystości w Budapeszcie na cześć Batorego i Sobieskiego, grając na naiwnym entuzjaźmie Polaków i na tradycyjnej strunie przyjaźni polsko-węgierskiej.

Rzucanie piaskiem w oczy. Węgrzy zapominają, że dzisiejsi Polacy, to nie owa szlachta przedrozbiorowa, którą można było wziąć na wszystko czapką, papką, solą i patryjotycznym okrzykiem. Na uroczystości ostatecznie pojedziemy dla dyplomatycznej kurtuazji, tokaju się napijemy — i z kurtuazji i dla smaku — ale na tem koniec. Tym razem już na kawał wziąć się nie damy.

Bo istotnie, rzeczywisty stosunek Węgrów do Polaków — nie ów sielankowo-toastowy, ale rzeczywisty — jest od dłuższego czasu wprost wrogi. Decydują o tem nie frazesy, kielichy i okrzyki, ale czyny. Już w czasie wojny pierwszy projekt postawienia na serjo sprawy polskiej w postaci t. zw. austro-polskiego rozwiązania, a więc przyłączenie do monarchji austro-węgierskiej trzeciego państwa, polskiego, o bądź co bądź 20-miljonowej ludności (gdyż nic innego nie było wówczas do pomyślenia), spotkał się z upartym oporem Węgier, mniejsza o to, przez jakiego męża stanu w tej sprawie reprezentowanych. Ciasny konserwatyzm i krótkowzroczny egoizm węgierski — pomijając pewne wyjątki — nie dopuszczał najmniejszej zmiany dualistycznego status quo monarchji, chociaż logika racji stanu powinna była Węgom dyktować, że tryalizm austro-polsko-węgierski osłabi znacznie wpływ niemieckiego żywiołu w monarchji na korzyść także i Węgier.

Tisza zatamował pierwsze realne zapoczątkowanie rozwoju polskiej sprawy, przyczem gołosłowne zapewnienie jego i różnych innych Węgrów, że życzą dobrze Polakom, nie mogły mieć oczywiście żadnej wartości.

Nastąpił potem, w czasie inwazji bolszewickiej na Pol-

skę, jakiś gest polonofilski: wysłali Węgrzy kilka, czy ileś tam, wagonów amunicji do Polski dla „odparcia bolszewickiego najazdu“. Transport ten został zatrzymany przez „demokrację“ jakiegoś innego państwa ościennego, która wolała widocznie, aby w Warszawie rządził Unszlicht, zamiast Piłsudskiego. Ale i ten gest „tradycyjnej przyjaźni“ z Polską był Węgom podyktowany oczywiście tylko niedawnym doświadczeniem rządów Beli-Kuhna i bali się ich powtórzenia u siebie w razie zajęcia Polski przez bolszewików i zbratania się z nimi mocno wówczas skomunizowanych Czechów.

A dzisiaj zawierają pakt — więcej zaczepny, niż tylko odporny — z Niemcami. Oczywiście przede wszystkim zaczepny, bo nikt przecież na Węgrów napadać nie zamierza i nawet nie może. Węgrzy zbroją się i gotują do wojny, która w ostatecznym swym rezultacie grozi daleko więcej naszym prowincjom zachodnim, niż czeskiej Słowacji. Bo w przebiegu takiej wojny Włoch myśleć będzie przede wszystkim o Dalmacji, wojska węgierskie pobite będą przez Małą Ententę, a główny atak Niemców skieruje się na polski Śląsk, Poznań i Pomorze.

W zrozumieniu niebezpieczeństwa tej węgiersko-niemieckiej Mitteleuropy, zacieśniła Mała Ententa swe węzły, tworząc stałą komisję swych trzech ministrów spraw zagranicznych celem sprawniejszego porozumiewania się w sprawach, dotyczących całości i bezpieczeństwa tego bloku. Miały podobno wyjść z tamtąd pewne sugestje pod adresem Polski co do jej współdziałania.

Nie potrzebują, zdaniem naszym, takie zaproszenia nawet wychodzić. I bez tego powinna Polska starać się o nawiązanie w tym kierunku kontaktu. Możemy to tem śmielej wypowiedzieć, że adhezja Polski do Małej Ententy leży przecież wprost na linii dawno już przez nas na łamach tego pisma wyłonionej i propagowanej koncepcji „bloku państw środkowo-wschodniej Europy“, który niezbędnym

nam się wydaje w niedalekiej, może nawet najbliższej już przyszłości, celem stworzenia pewnego silniejszego militarnie i gospodarczo zespołu w „trójkącie niebezpieczeństwa“ między Bałtykiem, Adrjatykiem i Morzem Czarnem. Uzasadnialiśmy tę koncepcję już chyba dostatecznie w długim szeregu artykułów, broszur i rozmów z różnymi czynnikami. Zareagowała na nią żywo i naogół przychylnie przede wszystkim prasa czeska, a stosunkowo dodatnio — mimo zrozumiałych zastrzeżeń — nawet litewska. Zdaje nam się, że mimo wielu chwilowych trudności i szkopułów, program ten narzuca się sam przez się wszystkim zainteresowanym, jako nieuchronna konieczność wobec grożącego wszystkim ze wszech stron niebezpieczeństwem. Tembardziej, że Francja daleko, a Anglja w swym egoizmie wyspiarskim lubi nawet, gdy coś się w Europie kotłuje, bałkanizuje i osłabia, bo to wzmacnia prestiż i arbitraż Albionu.

Tylko, że wyobrażaliśmy sobie w owym bloku dawniej obecność także Węgier i Bułgarji. Zrobiliśmy w tym kierunku także pewne wywiady, w nadziei, że uda się może przekonać poważniejszą opinię w tych krajach, iż drogą współdziałania w bloku mogłyby oba te państwa prędzej aspirować do ewentualnych rektyfikacji granic na podstawie przyjaznych rozmów z tym lub owym sąsiadem, niż wyczekując zbrojnej interwencji niemieckiej i nowej, ogólno-europejskiej katastrofy z więcej, niż wątpliwym dla ich aspiracji wynikiem. Bo nietrudno domyśleć się, że każda wojna europejska w dzisiejszych warunkach i stosunkach musiałaby zakończyć się zwycięstwem — bolszewizmu i to bez względu na to, czy Rosja sowiecka miałaby w tej wojnie bezpośrednio ingerować, czy też zadowolić się mit Schadenfreude spotęgowaną ad hoc agitacją wywrotową.

Spotkaliśmy się jednak ze szczerą, otwartą negacją ze strony Węgrów i Bułgarów — i to nawet ze strony polonofilskich i relatywnie frankofilskich sfer węgierskich. Dano nam całkiem wyraźnie do poznania, że oba te kraje

całe swe nadzieje pokładają w interwencji niemieckiej. A że to obecnie Hittler u steru, a z nim — przynajmniej pozornie — górami wszelkie możliwe i niemożliwe aspiracje rewanzowe i rewindykacyjne, więc . . .

Na taką politykę aspiracji węgierskich odpowiedzieć musimy stanowczym veto! Cała Polska, jak długa i szeroka, bez różnicy przekonań, zgodzi się w tem z nami, że to już na serjo niebezpieczna zabawa, której w taki czy inny sposób należy kres położyć. Skarżyli się Węgrzy rok temu gorzko przed nami, że zabrana im Ruś Zakarpacka grozi niebezpieczeństwem całej środkowej Europie, gdyż Czesi, dążąc do wspólnej granicy z Rosją, nie baczą na niebezpieczeństwo komunizmu, ale tolerują wszelkie jego postępy na owej Rusi. Ale dzisiaj widzimy, że daleko większym, bezpośrednim niebezpieczeństwem grożą całej Europie przede wszystkim same Węgry, wchodząc w zaczepny sojusz z Niemcami, gdyż ściągają na nią nie tylko groźbę wojny, ale nadto daleko większą groźbę ekspansji bolszewizmu, niż by to była w stanie uczynić mała i słaba Ruś Zakarpacka *).

Drogą nam będzie zawsze przyjaźń narodu węgierskiego, ale niechże przyjaźń ta wyraża się nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Niech nie godzi raz po raz w najżywotniejsze interesy naszego państwa i narodu. Nam, Polakom, wobec tak bardzo eksponowanego położenia naszego kraju, nie wolno poddawać się bezkrytycznie entuzjastycznym, na jakiejś dalekiej historycznej tradycji opartym porywom. Musimy trzeźwo patrzeć na życie i sprawy. Pragniemy przyjaciół, ale wolimy pożytecznych sprzymierzeńców, z którymi mogłyby nas łączyć jakieś realne, wspólne interesy. A przede wszystkim baczyć musimy pilnie na całość i bezpieczeństwo Polski, bez względu na

*) Choćby nawet, jak twierdzą niektóre źródła, formalnego sojuszu nie było, to i tak conaz wyraźniej akcentujący się na Węgrzech kierunek proniemiecki na to samo niemal wychodzi.

wszelkie sentymenty. To też jest rzeczą chyba bezsporną, że dalsza polityka Węgier w kierunku proniemieckim, dalsze ich usiłowanie wskrzeszenia Dreibundu czy Mitteleuropy i dążność do rektyfikacji ich granic drogą wzniecenia nowej pożogi wojennej, w której i nam i im samym i całej cywilizacji grozi przedewszystkiem widmo bolszewickiego przewrotu, spotka się z jednolitym frontem całego społeczeństwa polskiego.

A może byłoby to i lepiej! Bo wówczas nasza koncepcja rozszerzenia Małej Ententy w wielką Ententę państw środkowo-wschodniej Europy, zcementowaną przymierzem politycznym i odpowiednią unią gospodarczą, stałaby się z konieczności prędzej faktem dokonanym. Byłoby to więc lepiej dla samej idei takiego bloku i dla wszystkich jego kontrahentów. Ale czy byłoby lepiej dla Węgrów, gdyby w nim udziału nie wzięły i do jego budowy się nie przyczyniły, pokładając wszystkie swe nadzieje w zachłannym imperjalizmie niemieckim, to rzecz inna . . .

Jan Bobrzyński.

„ZAJAZD KARDYNAŁA”¹⁾

O sławiony ideolog i gloryfikator pornografii, Boy Żeleński, autor „Naszyc okupantów“, dostarczył autorowi „Zajazdu Kardynała“, p. waławowi syruczkwowi (sam się modnie pisze małemi literami) pomysłu do tego nagłówka. „Naszymi okupantami“ jest Kościół, kler; Polska się, rzekomo, z tych okupantów otrząsa, tedy jej Prymas, ks. Kardynał Hlond, wzorem dawnej szlachty, wystąpiwszy z orędziem o chrześcijańskich zasadach ustroju państwowego, uczynił na nią zajazd.

Nagłówek wyborny. Trudno o lepszy. Dość wyjąć go z cudzysłowów, żeby go zwrócić przeciw istotnym jeśli nie okupantom, to kandydatom na okupantów katolickiej Polski. Rzeczony orędzie, które, przyjętym zwyczajem mianowania encyklik papieskich, będę tu nazywał orędziem, „Dobrotliwa Opatrzność“ — jest rzeczywiście zajazdem Kadrynała, tylko że nie na Polskę, lecz na moralnych jej okupantów społecznych, mających również, jak i Kościół, charakter międzynarodowy, a stanowiących radykalne przeciwieństwo ideowe zrośniętego z Polską od lat tysiąca Kościoła.

W tym czasie ten nagłówek jest uzasadniony, tembardziej, że w swoim przeszłorocznym liście pasterskim gorzkożalnym, który stanowi prolog do będącego w mowie orędzia do całego Narodu, ks. Prymas z właściwą sobie energją podkreślił konieczność wyjścia katolików z biernej defenzywy, a przejścia nareszcie do czynnej ofenzywy i sam dał tego przykład w obu tych listach zarówno.

W podobny sposób możnaby strawestować także

¹⁾ Zajazd Kardynała (Państwo Teologiczne). Warszawa, 1932. Str. 36.

okładkową winietę „Zajazdu“, rysując na mapce Polski, zamiast czerwonej rękawiczki kardynalskiej z krzyżykiem na wierzchu, kielnię z młotkiem, albo też gołą rękę czerwoną, wyrzucającą z Polski krzyż, lub go łamiącą. Do woli!

Jako motto, p. w. s. położył na czele swej broszury słowa, wyjęte z pośmiertnych „Chamfortiana“ rewolucjonisty Chamforta, który, zagrożony jakobińską gilotyną, sam sobie życie odebrał, a sływał z dowcipu:

„Kto to jest kardynał? Jestto ksiądz, ubrany na czerwono, który dostaje sto tysięcy talarów od króla, żeby kpił z niego w imieniu papieża“.

Po zastosowaniu takiego kamertonu, oczekujemy od autora czegoś podobnie chamforckiego, doznajemy jednak zawodu. Autor ani nie uważa orędzia za kpiny z kogokolwiek, ani sam nie kpi. Przeciwnie, wypowiada się w tonie poważnym, co zresztą nie przeszkadza mu być zjadliwym. Ale — rzecz osobliwa — wywody jego przedziwnie odpowiadają myśli, zawartej w kpinie Chamforta, tak, jakgdyby nie tylko było w niej coś prawdy, lecz jakgdyby w niej była cała prawda. Dowieść takiej „prawdy“ bez perwersji niepodobna, perwersja p. s. jest inteligentna, nasze uświadomienie katolickie mocno niedomaga, sprawa, podniesiona w orędziu „Dobrotliwa Opatrzność“, ma wagę pierwszorzędną i jest wciąż żywotna: warto „Zajazdowi Kardynała“ poświęcić bliższą uwagę.

Autor rozbił swój materiał przeciworędziowy na szereg rozdziałów. Pójdźmy wśląd za nim.

„Nigdy jeszcze chyba — mówi autor w rozdziale wstępnym „Roma locuta“ — nie mieliśmy do czynienia z wypowiedzią kościoła (k małe) o tak wyjątkowym charakterze“. Istotnie: bezpośrednio wprawdzie locuta est Gnesnenia, ale pośrednio — Roma. Orędzie prymasowskie bowiem zostało nie tylko oparte na encyklice Leona XIII „Immortale Dei“, ale i potwierdzone przez obecnego Papieża. O ile też chodzi o Kościół w Polsce, ma ono również

rzeczywiście charakter wyjątkowy, do tej pory bowiem dzieje Polski — do takich wypowiedzi nie dawały powodu.

Orędzie zapowiada we wstępie „pełną naukę i prawdę o państwie“. „Obietnica to niecodzienna—ironizuje p. s.— Któż z nas ośmielał się choćby marzyć, że uchwyci absolut?“ Niecodzienna to skromność ze strony autora. Kościół od początku posiada pełną prawdę o państwie, a już św. Augustyn ujął ją naukowo w swoim nieśmiertelnym „De civitate Dei“. Również od początku Kościoła przeciwstawił się tej jego prawdzie realny absolut Rzymu cesarów, wskrzeszany dzisiaj w postaci laicystycznej, nowopogańskiej.

Ks. Prymas przewidująco zastrzegł się w swem orędziu przeciw „partyjnemu nadużywaniu go do szerzenia nieporozumień i sporów“. Głosi on w niem starą absolutną prawdę katolicką wszystkim, krzyżującym się na obszarze Polski, stronnictwom politycznym, żadnego palcem nie wytykając. Wymaga tego powaga prawdy absolutnej, występującej z pastorałem w rękę. Z kolei wszakże ona sama wymaga dobrej woli ze strony tych, do których się zwraca. Niestety, doświadczenie pokazuje, że wypowiedzi kościelne, w których, ze względów taktycznych, braknie kropek nad „i“, stają się zwykle narzędziem walki stronnictw. Losu tego nie unika samo nawet Pismo, stając się wciąż wylegarnią możliwych i niemożliwych absurdów heretyckich. Oczywiście, nie ono temu winno. Winna jest zawsze niesforna myśl ludzka, która, na podobieństwo muchy robacznicy, składa w niem swoje zalęgi. Stąd owo zastrzeżenie prymasowskie. Nic ono wszakże, w oczach p. S., orędziu jego nie pomogło. W „Połamany pastorale“ obciąża on ks. Prymasa winą nadużyć, przeciw którym on się zastrzegł był zgóry.

„...orędzie nie uśmierzyło żadnych „rewolucyjnych chichotów“, lecz wzbudziło jadowity chichot u wszystkich niemal grup politycznych, które orędzie arcypasterza uzna-

ły jedynie za zbiornik gazów trujących, przeznaczonych dla przeciwnika“.

„Zarzuty listu pasterskiego krążą, jak piłka, odbijana z obozu do obozu, siejąc niezgodę i szerząc dezorientację“.

„List paserski, sprowadzony do roli katalogu inwektyw międzypartyjnych, stał się sprawcą nowej rozterki. Ten, kogo szczytnem zadaniem jest głosić hasła pojednania, wywołał kłótnię i walkę. Przeciwnicy ze wzmożoną siłą okładają się po głowach; jedynie kije zastąpili kawałkami porozrywanego na sztuki pastorału“.

Słowem, orędzie osiągnęło skutek, wręcz przeciwny zamierzonemu, a „czyn publiczny należy zawsze analizować na tle skutków publicznych, za które sprawca musi ponosić odpowiedzialność“.

Zamiast pojednania wilka z barankiem, czy choćby z psem z rasy wilczej, ks. Prymas odegrał rolę „spryciarza z zabawnego skeczu“, który, wywoławszy spór między dwoma osobnikami, suflował im inwektywy wzajemne i, gdy już mieli rzucić się na siebie, wyręczył ich nawet w rękoczynach i za te usługi pobrał honorarium od obu. Nawet „nikt się nie obraził o przejrzyste aluzje, nie zbuntował przeciw niepowołanej ingerencji, nie założył protestu przeciw tezom orędzia“.

Szkoda! W tym żalu pocieszają nas jednak „przejrzyste aluzje“. Więc mimo to, zarzuty orędzia nie zawisły w powietrzu i kogoś tam ugodziły dotkliwie, jak ten miecz ewangeliczny, który Chrystus puścił na świat, miasto pokoju. Przytem, jawnie obrażać się trudno, bo to równałoby się przysłowiowemu odezwaniu się nożyc, czego dyplomacja każe unikać. Ale ta właśnie, zalecona przez Chrystusa, roztropność węzowa Kościoła, unikająca obrażania mocnych tego świata, a jednak z prostotą gołębią mówiąca im prawdę, drażni p. s. i ujawnia nam w jego osobie przedstawiciela tych kół, których zarzuty orędzia dotyczą w mierze bodaj największej. W ich to interesie leży zalecać Kościo-

łowi metodę kropkowania „i“ w jego wypowiedziach, metodę bezpośredniego walenia pastorałem po głowach, aby spowodować nie tylko słowne protesty i bunty, ale i czynne łamanie pastorałów. „Przejrzyste aluzje“ bowiem świadczą, że niekoniecznie trzeba było, choćby tylko metaforycznie, łamać pastorał, aby, w myśl orędzia, trafnie ugodzić tam, gdzie należy. One również dowodzą nieprawdy twierdzenia, żeby orędzie nie miało innych skutków, prócz mimowolnego wywołania nadużyć istotnych. Były głosy prasy, nie tylko polskiej, ale i zagranicznej, które świadczą o lojalnej wykładni orędzia naszego prymasa i o jego doniosłych pożytkach. Nie miało ono zresztą i nie ma przypisywanej mu przez p. s., naiwnej nadziei uśmierzenia „chichotów rewolucyjnych“. Zato niewątpliwie spodziewało się „jadowitego chichotu“ pp. syruczków.

W przeciwieństwie do nielojalnych łamaczy pastorału prymasowskiego — w „Ataku na wszystkich frontach“ p. s. zapowiada nam „lojalny“ rozbiór orędzia. Przedsmak tej lojalności dały nam już rozdziały poprzednie, daje i ten.

P. s. wysoko ocenia mądrość polityki w tykańskiej. Uznaje ją za najlepszą na świecie. Szkoda tylko, że patrzy na nią przez okulary liberalistyczne. Do jej oceny wciąga on głośną sprawę ks. Pirożyńskiego o jego książkę „Co czytać?“ „Ojciec P., to tylko jedna z metod działania kościoła katolickiego, których kościół posiada wiele, stosownie do właściwości terenu. Za o. P. stoją politycy wytrawni, którzy między sobą żartują sobie z jego książeczki, ale wiedzą doskonale, dlaczego opatrzyli ją stemplem „Impri-matur“. Wie o tem doskonale i przenikliwy p. s. „Mobilizacja kościoła jest powszechna. Ojcu P. polecono zająć się szarą masą parafjan, aby ustrzec je przed prądami epoki“. W związku z tem: „Zjazd pisarzy katolickich miał stworzyć front ludzi pióra, aby wśród inteligencji sparaliżowali konkretne plany reform“. Wreszcie: „List past. ks. prymasa Hlonda zaatakował dziedzinę polityki i ekonomji...“

Plan byłby istotnie kunsztowny, gdyby nie jedna gafa. Głośne dziełko o. P. dotyczy tych samych kół inteligentkich, na które ma oddziaływać zorganizowany szyk pisarzy katolickich. Sam o. P. do tego szyku należy. Wobec tego żartowanie polityków watykańskich z jego dziełka wygląda na podrzutka p. syruczka.

Lecz oto autor zabiera się do lojalnego obalania tez orędzia. Na pierwszy ogień idzie „Herezja wolności“.

Zdaniem p. s., katolicka filozofja państwowa przedstawia system absolutnej teokracji, a to dlatego, że... wywodzi pochodzenie władzy od Boga! Oczywiście, teokracja, to rzecz okropna, to zamach na świętą wolność człowieka. Cóż dopiero teokracja absolutna! Kościół, który jej hołduje, musi być absolutnym wrogiem wolności i ogłaszać ją jako herezję. Tymczasem nowożytny ruchy wolnościowe, datujące się od czasów rewolucji francuskiej, a przygotowane głównie przez Russa, wielu narodom, w ich liczbie i Polsce, przyniosły wyzwolenie, wydobyły chłopów z niewoli pańszczyzny, zagwarantowały robotnikowi ochronę pracy, szerokim masom dały oświatę i w ciągu wieku zrealizowały więcej chrześcijańskich postulatów sprawiedliwości, aniżeli katolicka doktryna teokratyczna przez wieków osiemnaście. Autor mógłby jeszcze dodać, że monarchje absolutne z czasów przedrewolucyjnych, a niektóre i po nich, były czystym wyrazem katolickiej doktryny teokratycznej, mimo ich bezbożnych nadużyć.

Dziś, kiedy sławione przez autora ruchy wolnościowe doprowadziły do tryumfu bolszewizmu, niepotrzeba zbyt się mozolić nad rozplątaniem powyższego splotu absurdów. Mamy w ręku jeden z jego koniuszczków. Wystarczy nim szarpnąć, by cały splot się rozwiązał. Bo przecież jedynie chyba obłuda może przeczyć istnieniu związków przyczynowych pomiędzy rewolucją bolszewicką a jakobińską, z której owe ruchy się narodziły. Wolność w pojmowaniu jej liberalnem, jakiemu hołduje p. s., w bolszewizmie okazała się, jak na dłoni, jako Augustynowa „libertas per-

ditionis“. Dlatego też i te wyzwolenia, które ona niosła w swoim przebiegu dziejowym, napiętnowane są jej skażeniem. Zresztą, jestto zbyt prostackie ujmowanie skomplikowanych spólczynników dziejowych, żeby przypisywać te wyzwolenia całkowicie rewolucji, jakoby ona była jedynym czynnikiem dziejotwórczym. Człowiek inteligentny może się na to decydować tylko pod nakazem złej woli, której chodzi o zwycięstwo fałszu za wszelką cenę i to w myśl hasła, które p. s. przypisuje Kościołowi: „Pereat justitia, fiat doctrina!“ Gdyby rewolucja nie spotykała przeciwdziałania ze strony Kościoła, świat chrześcijański dawno już byłby pogrążony beznadziejnie w piekle bolszewickiem. Tem przeciwdziałaniem tłumaczy się też zjawisko, że rewolucja niechcący urzeczywistnia, a raczej przyczynia się do urzeczywistnienia postulatów sprawiedliwości chrześcijańskiej. „Djabeł sam nosi najcięższe kamienie do budowy świątyni Pańskiej; poci się, a nosi!“ — mówi głębokie przysłowie hiszpańskie. Inaczej byłoby rzeczą niepojętą, aby szatańska z natury rewolucja (De Maistre) sama przez się urzeczywistniała ideały chrześcijańskie, a powołany do tego Kościół nie tylko stał biernie na boku, ale i czynnie temu przeszkadzał, rzucając anatemy na „herezję wolności“. Natomiast jest rzeczą zrozumiałą, kiedy djabeł chwali się budową świątyni, choć czyni to tylko pod przymusem.

Czy potrzeba tu jeszcze zaprzeczać twierdzeniu, że katolicka filozofja państwowa przedstawia system teokracji, albowiem opiera się na zasadzie pochodzenia władzy od Boga? W takim razie rządem teokratycznym byłby nawet rząd demokratyczno-parlamentarny, o ile tylko uznawałby boskie źródło sprawowanej przez siebie władzy; temsamem zaś, jak to tłumaczy i orędzie „Dobr. Op.“, rządziłby po Bożemu, t. j. wedle zasad etyki przyrodzonej i objawionej. Ale właśnie p. s. odrzuca rządy Boże, nawet pośrednie. Nienawidzi on je tak bardzo, że nawet i takie przedstawiają się mu jako teokratyczne, choć sam kiedyin-

dziej—także i w podnagłówku—nazywa je słusznie teologicznymi. Jego ideałem jest powszechna i absolutna laicyzacja, zatem, w konsekwencji ostatecznej, demoniczny bolszewizm. Dlatego to zasada pochodzenia władzy od Boga jest dlań kamieniem obrazy i skałą zgorszenia.

Naiwnie, czy chytrze, w rozdziale „Dyskonto św. Pawła“ — autor usiłuje wyperswadować, jeśli nie Kościołowi, to nieuświadomionym katolikom, naukę o boskiem pochodzeniu władzy, sformułowaną klasycznie przez Apostoła narodów (do Rzym., 13. 1). To utopja metafizyczna, która „bodaj nigdzie nie oblekła się w ciało“. „Wykładnikiem realnych stosunków politycznych była ona conajwyżej w dobie monarchij i pomazańców bożych“. (Więc jednak nie zupełna utopja!). „Dzieje ludzkości rozwinęły się wszakże torem laicyzacji“ i nic już ich z tego toru zepchnąć, czy zawrócić nie zdoła. Kościół, obstając przy tej rzekomej utopji, bierze na siebie odium reakcji oraz piętno wstecznicstwa, no i, z tem wszystkiem, przegra. Daremne są wszelkie jego próby pogodzenia teokracji z demokracją, a z drugiej—z faszyzmem, któremu rzekomo Pius XI udzielił Boskiej sankcji (!). Bez względu na to, czy kiedykolwiek udzieli konsekracji czerwonym czy brunatnym sztandarom, czy też je potępi, w dziedzinie filozofji już przegrał. Któryż bowiem teolog potrafi zbudować most ideologiczny między Watykanem a Kremlem? Któryż podejmie się wykazać, że władza sowiecka dziś, a hitlerowska jutro, są ilustracją zasady: „...a te, które są, od Boga są postawione“? Poza-tem: „Gdzie jest państwo, gdzie władza, któreby kościół mógł przytoczyć na potwierdzenie swej doktryny?“

Trudności próżne, odpowiedź łatwa. Gdzie jest siła, zdolna obalić prawdę wieczną? Prawda wieczna zaprzeczeń się nie boi. Istnienie Boga jest koniecznością metafizyczną, a skoro Bóg istnieje, to musi On być źródłem wszelkiego bytu, życia, myśli, władzy. To prawda wieczna. Chodzi o jej życie podmiotowe w człowieku, w społeczeństwie, w państwie? Ona żyje indywidualnie w jednostkach

wierzących, społecznie w organizacjach społecznych, politycznie w chrześcijańskich posłach parlamentarnych, jakich nigdzie nie braknie, nawet w państwach, nie uznających Boga oficjalnie. A na historyczne fakty władzy w rękach bezbożnickich odpowiedział w „Dziadach“ ks. Piotr Senatorowi, wojującemu św. Pawłem:

*„Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha;
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha!“.*

Zresztą, — podkreśla to i orędzie „Dobr. Op.“ — Kościół każe słuchać nawet i władzy ateistycznej, mianowicie w tem wszystkim, co się nie sprzeciwia sumieniu.

Ale p. s. snuje dalej swój wywód ze swoich założeń. „Rozgrywkę nieba z piekłem“ rozpoczyna on od zdyskontowania twierdzenia własnego, które dopiero co zostało tu obalone. „Kościół nie tai, że rzeczywistość zaprzeczyła teologicznej doktrynie o źródle władzy...“ Rzeczywistość jednak zmusza go niebawem do zaprzeczenia samemu sobie. W dalszym ciągu mówi więc już o uznanem przez Kościół istnieniu rozdźwięku między jego nauką a praktyką laicką. Oczywiście, nie tai się zła, będącego przedmiotem jawnej walki. Złem jest ów rozdźwięk, istniejący od czasów rewolucji francuskiej. Otóż — mówi autor — „Kościół tłumaczy to zjawisko tryumfem szatana“. I cytuje orędzie: „Wszedł szatan w politykę ludów. Przemazał myśl Bożą...“ Stąd przechodzi on do stwierdzenia, że według Kościoła, dzieje ludzkości są terenem ustawicznych zmagania Boga z szatanem. I dalejże drwić z tego światopoglądu historjzoficznego: „Rzecz prosta, szatan zostanie w końcu pokonany, bo taką właśnie wyznaczono mu rolę i wówczas na całej kuli ziemskiej zrealizuje się kościelna doktryna o państwie“. Naturalnie, p. s. nie może z tem walczyć poważnie. Drwina starczy za argument przeciw choćby Leonowemu antymasońskiemu „Humanum genus“, gdzie ów światopogląd został rozwinięty we wstępie. Jeżeli to

fikcja, tedy niema powodu lękać się zbyt „wielkiej tragicznej godziny, zbliżającej się szybkim krokiem“, a której wizję ukazuje orędzie. Jako żywo, żadne Mane Tekel Fares świata nie grozi. Nie jest wprawdzie dobrze, ale: „Rewidujemy stare kanony, szukamy nowych form...“ Tak, tak! Tylko wciąż po staremu, z nieuleczalnym obskurantyzmem, opieramy dźwignię naprawy świata na próżni ateistycznej. Przynajmniej w zamiarze własnym. Faktycznie bowiem taką próżnię zajmuje zwykle szatan. Natura horret vacuum. Oparcie solidne. Możemy spać spokojnie przy dźwiękach kołysanki wirtuoza, gotującego świata krwawą kąpiel.

Resztę rozdziałów wystarczy przebiec pośpiesznie.

Jako postulat państwa według programu Kard. Hlonda, autor wysuwa „Ministerstwo Dogmatyki“. Niepotrzeba! Wystarczy istniejące już oddawna na cały świat ministerstwo watykańskie, znane Congregatio Officii. Chybia więc powtórzony z tej okazji koncept Boya, „wielkiego pogromcy klerykalizmu“, który bierze wciąż wielkie ciężki klerykalne — „o naszych okupantach“.

„Za parawanem rodziców“ jest myślową żonglerką na tle katolickiej zasady prawa rodziców do dziecka przeciw wszechwładczym zakusom państwa ateistycznego. A co — pyta autor — jeśli rodzice godzą się na szkołę bez Boga? Kościół zażąda wtedy od państwa działania wbrew woli rodziców. To ma być kuglarstwem Kościoła. Nie; kuglarzy sam autor. Wola Boża obowiązuje zarówno państwo, jak i rodziców. Orędzie „Dobr. Op.“ jest polityczne i tylko dlatego nie mówi o obowiązkach rodziców.

Dobrze, że autor „nie porusza“ tu sprawy absurdów, do jakich ma prowadzić postulat uzgadniania nauk świeckich z dogmatyką. Nieuwzględnianie go bowiem prowadził istotnie do skandalicznych absurdów, jak zwłaszcza absurd nad absurdami, że niema Boga.

„Fałszem intelektualnym“ autor zowie katolicki podział sfer zainteresowania między Kościół a państwo. Ma

to być fałsz dlatego, że między dwiema władzami: kościelną a państwową — istnieją sprawy mieszane i że Kościół rości sobie prawo do ingerencji nawet w sprawy czysto świeckie, gdy chodzi o moralność. Stąd rzekomo wynika, że państwo nie jest suwerenne, natomiast Kościół staje się instancją nadrzędną nad wszystkimi władzami świata. Że tak być nie powinno, przyznają „szczerzy i lojalni publicyści katoliccy“, tak, jak p. „Ezaw“ Skiwski. Jeżeli Kościół obstaje przy swoim, to dlatego, żeby zamaskować swoje dążenia polityczne.

Zarzut stary, jak świat, a jego źródłem teoria wszechmocy państwowej. Zasada jednak katolicka jest prostą konsekwencją wszechwładzy Bożej, a stróżem prawa Bożego stosowniej chyba być Kościołowi powszechnemu, aniżeli państwom, których jest tak wiele. Toteż już Bonifacy VIII-my w bulli „Unam sanctam“ wyjaśnił, że Kościół, pod względem moralnym, posiada władzę pośrednią nad politycznymi władzami świata „non ratione dominii“, lecz „ratione peccati“. Nie podoba się to ateistom, dążącym do zastąpienia Kościoła Synagogą Szatana, jak już Grzegorz VII nazwał ziemskie ekspozytury mocy piekielnych. Żeby te dążenia zamaskować, oskarża się Kościół o *cupido dominandi*.

„Lojalność, czy anarchja?“ — zapytuje autor w rozdziale następnym. Kościół — stwierdza ks. Prymas — nakazuje lojalność wobec władzy prawowitej; ale jednocześnie żąda odmówienia jej posłuszeństwa, gdy ta nakazuje zło. Zdaniem p. s., ten wyjątek od zasady lojalności jest anarchiczny, przeciwspołeczny i „bodaj niecenzuralny!“ „Habemus confidentem reum!“ Obrońca wolności stał się nagle apostołem państwowego niewolnictwa i sam okazał, do czego prowadzi jego wolność. Jednocześnie pod pozorem trwałości i potęgi państwowej uświęca on istotny czynnik anarchji, jakim jest zło moralne. To już formalny bolszewizm!

Dla dopełnienia obrazu konsekwencji autora dodajmy,

że on, wyznawca boga-państwa i międzynarodowkowiec, gorszy się katolickim nakazem lojalności wobec ustalonej władzy zaborców, a gloryfikuje samobójcze, czerwone w swej genezie i podżegane przez samych zaborców oraz inne obce mocarstwa w interesie własnym, — powstania narodowe polskie *). Ma to być dowód osobliwego patriotyzmu, gdy w świetle badań historycznych jestto znak, co najmniej, sympatji masońskich.

Niemal równocześnie z ogłoszeniem orędzia „Dobrotliwa Op.“ obradował w Warszawie zjazd potentatów gospodarczych i, taksamo, jak i ono, potępił etatyzm. „Kapitaliści byli szczerzy: protestowali w imię swoich interesów. List pasterski poszedł dalej: rzucił klątwę w imię Chrystusa“. Stąd nagłówek rozdziału: „Nadprzyrodzona odsiecz kapitalistom“. Perfidja nie chce wiedzieć, z jednej strony, o licznych wypowiedziach Kościoła przeciw spoganiałemu kapitalizmowi (u nas bp. Kubina), a z drugiej o tem, że ten kapitalizm jest owocem gospodarczym rewolucji francuskiej i ma w swym podkładzie filozoficznym materjalizm, taksamo zresztą, jak i jego proletarjacka antyteza w postaci marksowskiej.

Rozdział ostatni: „Na granicy sumienia“ — wyprowadza wniosek ostateczny z całości rozważań p. s. na tle orędzia: „Państwo teologiczne, skonstruowane według recepty Listu pasterskiego, byłoby niedorzeczną karykaturą i, rzecz prosta, nie może być i nie będzie nigdy zrealizowane. Zostanie pium desiderium Kościoła, który, niestety, nie chce zrozumieć, jakie straty niosą mu ambitne próby uzyskania omnipotencji politycznej. Jeśli Kościół ma pełnić wzniosłą rolę stróża moralności, działalność jego musi się zatrzymać na granicy sumienia jednostki i wyrzec się stref, do których z natury rzeczy nie ma żadnego powołania“.

Znamy te mefistofelicznie życzliwe rady! Tym razem jednak rada jest mimowolnie dobra, jakkolwiek zbyt

*) Z tem ostatniem zdaniem czcigodnego autora niecałkiem się zgadzamy. (Przyp. Red.).

na. Kościół jest królem sumień jednostek, nie wyłączając, rzecz prosta, jednostek rządzących. Przytem każda jednostka jest zawsze obywatelem czy obywatelką państwa, a państwo przecież również powinno postępować według zasad moralnych.

W swoim, wspomnianym na początku, Liście gorzkożalnym ks. Prymas pisał: „Rośnie nienawiść wrogów Chrystusa. Zwalczają naukę Kościoła... fałszywie oskarżając go o wiele rzeczy“: o podburzanie narodów, o buntowanie przeciw zwierzchności świeckiej, o ukryte zamiary zagarnięcia władzy państwowej. „Tegośmy znaleźli podburzającego naród nasz i zakazującego dawać daniny cesarzowi i mówiącego, że On jest Chrystusem królem“. Grożą niełaską możnych, wymuszają nieprzyjazne dla katolicyzmu zarządzenia, a od kierowników państw domagają się jego zagłady: „Jeżeli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarski“ “.

Słowem, perfidne oskarżanie Chrystusa powtarza się na Jego Kościele. Lecz „bramy piekielne nie przemogą go“. Ani żadne zajazdy.

Ks. Ignacy Charszewski.

O POLSKO-UKRAIŃSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE.

Jeden z uczestników sekcji ukraińskiej Koła Przyjaciół naszej Przyszłości zamieścił w grudniowym jej numerze (T. XXVI) nader rzeczowy artykuł p. t. „Pod znakiem prawdy polsko-ukraińskiej“, w którym zreferował pomysł stworzenia Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego i podał jego obszernie, poważne uzasadnienie. Podkreślono tam potrzebę „stworzenia jakiegoś trwałego, a poważnego i niedrażniającego politycznie ośrodka współpracy polsko-ukraińskiej nad naszym wzajemnym, wielce zawiłym problemem narodowościowym“, występując „do wszystkich przedstawicieli intelektu i wiedzy w polskim i ukraińskim społeczeństwie, którzy uznają na serio potrzebę powstania szkoły naukowej polsko-ukraińskiej, idącej w imię prawdy dziejowej, a opartej na ogólnym światopoglądzie zachowawczym i katolickim, aby zechcieli równocześnie rozpocząć badania, a potem chwycić za pióra i tworzyć dzieła naukowe z każdej dziedziny, natchnione wielkim realnym celem wzajemnego bliższego poznania się i uzgodnienia racji stanu obu narodów“.

Słowom powyższym można oczywiście tylko przyklasnąć. Odnosząc się do „dzieł naukowych z każdej dziedziny“, mają one przedewszystkiem na myśli dziedziny, interesujące oba narody łącznie, dotyczące zaś w szczególności dziejów kultury polskiej i ukraińskiej, a zatem literatury i sztuki, a z nauki — w pierwszym rzędzie historii.

Już w swym „Liście otwartym do ukraińskiego konserwatysty“ słusznie pisał dr. Jan Bobrzyński, że „wystąpienie krakowskiej szkoły historycznej, tak niby twarde, suche i niestrawne, stanowiło punkt zwrotny w podświa-

domości polskiego ogółu od apatji i rozpaczki do poprawy wewnętrznej i nadziei. Bo każdy trzeźwy umysł zrozumie, że gdy wzmówi się w naród niezasłużone krzywdy i usprawiedliwienie jego upadku przemocą zaborczą, to wytwarza się w nim tylko atmosferę beznadziejności i rozpaczki. Natomiast uświadamianie zgnębionego narodu, że upadł nietyle obcą przemocą, ile przedewszystkiem własną winą i wskazanie mu drogi rachunku sumienia na podstawie rzetelnej prawdy historycznej, podnosi go na duchu wysunięciem prostego wniosku, że jeżeli naród z błędów się poprawi, to wzmocni się i przysposobi do odzyskania niepodległości w odpowiedniej okazji, której prędzej czy później dostarczy mu ewolucja dziejowa“. Otóż taki „rachunek sumienia na podstawie rzetelnej prawdy historycznej“ mają zrobić pracujący wspólnie nad przeszłością dziejową swych krajów uczeni polscy i ukraińscy. Tem to jest łatwiejsze, że badania te dotyczyć muszą siłą faktu historii wspólnej. A wiele jest tu do zrobienia! Ira et studium zrobiły swoje, badacze przeszłości naszych wspólnych dziejów hynajmniej nie znamionowali się obiektywizmem, społeczeństwa zaś nasze, kształcone wysoce jednostronnie w tej mierze i każde wręcz przeciwnie, oddaliły się od siebie tem bardziej, im silniej dzierzgał się między nimi splot interesów i koncepcji politycznych.

Trzeba tu wprost oczyścić istną stajnię Augjasza! A przecież nastawienia obu społeczeństw ogromnie wpływają na wytworzenie poglądów na czynnik najważniejszy, t. j. na rację stanu. Quod ab initio vitiosum est, non potest tractu temporis convalescere. Z błędów w odtwarzaniu przeszłości dziejowej rodzą się błędne zgoła wskazania na przyszłość, a błąd tradycyjny, uzyskawszy sobie prawo obywatelstwa, należy w tej mierze do niebezpieczeństw największych. Takich zaś jest pełno w dotychczasowem ujęciu wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich — roi się wprost od nich!

Polscy przeciwnicy popierania regeneracyjnego ruchu

ukraińskiego wysuwają różne argumenty dla poparcia swych tez, twierdząc między innymi, że ruch ukraiński jest ruchem sztucznym, że narodu ukraińskiego wogóle nie ma, że fikcję istnienia jego stworzyli Niemcy, że polityka „federalcyjna“ ze strony Polski jest szkodliwą utopją i t. p. Starsi, pamiętający czasy z przed lat kilkadziesiąt i na tej płaszczyźnie traktujący zagadnienie ukraińskie i problem stosunków polsko-ukraińskich, głoszą, że „dawniej pożycie polsko-ukraińskie było bardzo dobre“, że „nikomu ze stron obu nie śniło się o jakichś sporach“ etc. etc. Jest to oczywiście bardzo niedokładne i nader fragmentaryczne ujmowanie kwestji na podstawie specyficznie błędnego oświecenia pewnego spatium temporis. Sąsiedzkie tarcia i niesnaski, a nawet spory historyczne niewątpliwie istniały między Polską a Rusią od czasów najdawniejszych (słynna sprawa Grodów Czerwieńskich!). Lecz nie należy ich traktować tak, jakby charakter ich był zaściankowo-sąsiedzki. Ruch kozacki, aczkolwiek miał silną domieszkę socjalną, był jednak ruchem narodowym. Bohdan Chmielnicki pierwszy podniósł wyraźnie sztandar Ukrainy, ale nie on był historycznie pierwszym wyrazicielem aspiracji kozacko-ukraińskich; nie mówiąc już o Ostrzaninie, Kosińskim, Łobodzie i Nalewajce, główny nacisk powinniśmy położyć na postaci Piotra Konaszewicza Sahajdaczego i na chocimskim zacieśnieniu stosunków polsko-kozackich. Na tym to okresie opierając się, jak i na czynionych często przez Ukraińców zarzutach, że Polska nie dotrzymywała słowa Ukraińcom (zapomniano po owej stronie o faktach vice-versa), uczony historyk ukraiński, prof. Michał Hruszewski, ustosunkował swą perspektywę historyczną względem Polski i wartości zawieranych z nią umów. W ten też sposób odpowiadała strona ukraińska na zarzut Ludw. Kulczyckiego, autora niefortunnej zresztą „Ugody polsko-ruskiej“, dotyczący rzekomego braku perspektywy historycznej u Hruszewskiego. Te właśnie stosunki zbadać należy ze stron obu obiektywnie, sine ira et studio, poznać trzeba ich sens dziejowy i wy-

plywające z nich skutki historyczne, nie mniej, jak i odległe ich przyczyny, a nawet pra-przyczyny i tu — na tle całej ogromnej przestrzeni stosunków polsko-ukraińskich — wdzięczne pole do pracy mieć będzie przyszła sekcja historyczna Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego.

Dla sekcji zaś historyczno-literackiej duże znaczenie będzie mieć kwestja przestudjowania odbicia tych stosunków w literaturze pięknej. Od czasów najdawniejszych sprawę ujmując, zastanowić się winna ona nad rozwojem obrazu tych stosunków, jego zaletami i wadami, których tyle mają np. dzieła czy Sienkiewicza, czy Hohola. Nie można będzie przejść do porządku dziennego nad zagadnieniami i omyłkami „Św. Jura“ Zacharyasiewicza, nad stylizacją tendencyjną dobrze zresztą napisanej powieści Michała Nowakowskiego „Na zori“.

Pięknym wzorem obiektywizmu naukowego w dziedzinie odnośnych studjów historycznych może być słynny szkic idealnie obiektywnego historyka polskiego, Ludwika Kubali, o Bohdanie Chmielnickim i jego polityce. Nie jest ona, choć tak dokładnie ocenił ją prof. Kubala, bynajmniej dobrze znana większości Polaków do dnia dzisiejszego; co zaś za tem idzie, nie jest też dobrze rozumiana.

Przesadnie wysoko ocenił postać Chmielnickiego polski entuzjasta Ukrainy, redaktor Jan Ursyn Zamarajew. Za nisko stawia Chmielnickiego ogół polski.

Nie dość ściśle, niezgodnie właśnie z wynikami badań Kubali, przedstawiają sprawę perejaślawską nawet zwolennicy ideologii „Naszej Przyszłości“ w swych odnośnych artykułach. Polityka Chmielnickiego bowiem sięgała daleko — Kubala zestawia go z Cromwellem na jego korzyść — i zamierzała w ostateczności, podobnie, jak później polityka Iwana Mazepy, oprzeć się na Szwecji, a nie na Rosji. Przeciw zaś ugodzie perejaślawskiej Chmielnicki nawet protestował i t.e. on doprowadził ją do skutku, jak to z nowszych badań wynikło. Widzimy zatem, jak poważne korektywy potocznej opinii przynieść

może badanie licznych punktów stycznych w dziejach naszych wzajemnych stosunków w przeszłości (z kolei więc: ugody hadziackiej i rozejmu andruszowskiego, sylwetek Wyhowskiego, Tetery i Mazepy) i w teraźniejszości, oraz wnioski dla powzięcia logicznego postanowienia co do polityki na przyszłość.

Badanie to doprowadzi do uznania słusznej tezy p. Łosia w wywodach jego o konstruktywnej polityce polsko-ukraińskiej na łamach „Naszej Przyszłości“, iż „ze wszystkich ziem ukraińskiego zasiedlenia jest Ruś Czerwona, stare królestwo halickie, jedyną ziemią zachodnio-europejską, jedyną katolicką. Ruś Czerwona, to nie jest jakiś strzęp, wydarty mechanicznie z większej całości, to w y k r y s t a l i z o w a n a p r z e z h i s t o r j ę o r g a n i c z n ą d z i e l n i c ą, która, z bardzo małemi tylko i nieistotnemi uchyleniami, znalazła się cała w historycznych swoich granicach taka, jak nad nią władał jedyny z władców ruskich, koronowany z rąk papieża, król Daniel Halicki“.

Stąd wynikają wskazania dziejowe, zupełnie odmienne od tych, które wysnuł historyk i krytyk dyplomacji ukraińskiej z roku 1919, dr. Wasyl Kuczabski (skrytykowany znów z kolei piórem p. Łosia na łamach „Naszej Przyszłości“).

Powtarzające się wzajemnie błędy polskie i ukraińskie doprowadziły do wytworzenia się zgoła niewłaściwych nastrojów, których odległym skutkiem była wspólna polsko-ukraińska przegrana na rzecz bolszewików pod Kijowem.

Ukraińcy, wolni od rządów sowieckich, mają wobec całego swego narodu osobliwie ważną misję. Muszą więc zrozumieć swą rację stanu.

Do tego powinno im pomóc obiektywne badanie własnych dziejów.

Zrozumieją chyba wtedy słuszność zdania p. Łosia: „Kierownicy polityki halickich Ukraińców w okresie 1918—1919 roku ponoszą przed historją własnego narodu

straszną odpowiedzialność za to, że zatrzymali wojska polskie nad Dniestrem tak długo, aż bolszewicy opanowali Kijów i w nim się wzmocnili. Pomoc Polski w roku 1920 przyszła już zapóźno i państwa ukraińskiego skutkiem tego niema. To jest prawda, której żadna sofistyka zaprzeczyć nie może“... „Równoległe, zgodne i niezawisłe wzajemnie od siebie współistnienie Polaków i Ukraińców rozwiązuje sprawę Słowiańszczyzny, sprawę Środkowej i Wschodniej Europy“.

Zlekka przygnębieni przed paru laty jeszcze po przeczytaniu polskich uwag prasowych o sprawie ukraińskiej, z prawdziwą satysfakcją czytamy dziś głosy takie, jak powyższe. Naprawdę widać, że „coś się już myśli i coś się robi“. Zamiast dawnych straconych stanowisk, widzimy twórczy obiektywizm i szczęśliwą inicjatywę, której nie można wprost dość pochwalić „trybunie zachowawczej myśli państwowej“.

Sprawa ukraińska, przed którą otwierały się tak powabne horyzonty, po wojnie przechodzi rozmaite stadja. Nie można jej załatwić naprędce rzuconym programem, nie chodzi o efekt pozorny, ale o faktyczny. Dlatego ważne jest niezmiernie wyjaśnianie poszczególnych jej faz, czy kierunków i praca nad wzajemnem zbliżeniem.

Z poważnych kół ukraińskich — nietylko z kół, specjalnie przyjaznych ks. Biskupowi Chomyszynowi, ale i od różnych posłów ukraińskich na Sejm w Warszawie — sły-
szy się słowa szczerego uznania, stwierdzające, że „n a-
r e s z c i e r a z p o w a ż n i e i r o z u m n i e z a-
j ę t o s i ę w P o l s c e k w e s t j ą u k r a i ń-
s k ą“.

A wiadomo, że „Nasza Przyszłość“ Ukraińcom bynajmniej nie schlebia, tylko właśnie pali gorzkie verba veritatis, nie szczędząc ich też zresztą i błędom polskim. Ale rzeczowość i umiar mają to do siebie, że ich nie sposób zlekce-

ważyć. Poważnie i rozumnie zajęte stanowisko musiało też wydać skutki.

Teraz należałoby pomyśleć stanowczo i konkretnie o uznanej już w prasie zachowawczej potrzebie wzajemnego zbliżenia kulturalnego, literacko-naukowego, a to drogą odpowiedniej organizacji, mianowicie „Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego“.

Powyżej wspomniano o potrzebie prac jego sekcji historycznej; nie mniej ważnemi dla poznania się wzajemnego będą jednak i pozostałe, którym niejednokrotnie łatwiej jeszcze przyjdzie znaleźć serdeczny ton porozumienia.

Używając słowa „sekcja“, myślę o naturalnym, a doskonać się mającym podziale pracy w łonie przyszłego towarzystwa; oczywiście podtrzymuję przytem ze swojej strony stanowisko „Uczestnika sekcji ukraińskiej Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości“, który zastrzega się, że „powstanie formalnie zorganizowanego Towarzystwa naukowego polsko-ukraińskiego winno być nie zapoczątkowaniem, ale raczej ostatecznem ukoronowaniem wzajemnej dobrej woli oraz faktów, przez nią dokonanych. Towarzystwo powstać musi najpierw faktycznie, zanim utrwali je ostatecznie taki czy inny statut pod względem formalnym. Musi najpierw utworzyć się samorzutnie, niejako organicznie, ruch naukowo-badawczy w elicie polsko-ukraińskiego intelektu, musi zacząć płodzić artykuły, rozprawy, dzieła, musi urabiać kierunek myślenia równolegle w obu narodach, a wówczas dopiero faktycznie już działająca szkoła będzie mogła skutecznie przybrać na zewnątrz kontury organizacyjne. Słowem, musi zdać najpierw egzamin, zanim otrzyma formalne świadectwo z pieczęcią. Tylko taka geneza polsko-ukraińskiej szkoły naukowej będzie zdrową, poważną i produktywną. Zaczynanie zaś od statutów, zarządów i zebrań formalno-reprezentacyjnych nie przekonałoby nawet uczestników takie zespółu o istnieniu rzeczywistej jego potrzeby, a spaliwszy ewentualnie na panewce,

mogłoby zadać na długie czasy poważny cios normalizacji stosunków na katolickiej Rusi Czerwonej i polsko-ukraińskich wogóle“.

Oczywiście nie należy rozumieć słów powyższych, jako wskazujących potrzebę akcji, negującej potrzebę ram i formy. Treści bowiem materialnej pracy badawczo-naukowej należy nadać z czasem formę, uregulowaną statutowo, gdyż, o ile jest widocznym minusem przewaga formy nad treścią, a dobrem jest zjawiskiem w tej mierze sama treść, to tem lepszym zjawiskiem będzie stosowna koordynacja treści i formy. Dlatego też można już mówić o przyszłym towarzystwie, nie szukając jeszcze ani jego władz, ani bliższej organizacji — i można już w niem zgóry przewidzieć wspomniane wyżej sekcje, t. zn. historii, historii literatury i sztuki (obok nauk pomocniczych i t. p.).

Wszakże nie zbadano dotąd porównawczo choćby tak ważnej dziedziny, jak t. zw. szkoła ukraińska w poezji i prozie polskiej XIX wieku! Wszakże Zaleski, Goszczyński, Malczewski, Groza, Grabowski, Padura, Fisz-Padaliça i inni, to jeszcze niezalutwiona w nauce historii i estetyki literatury sprawa!

Wszakże dotąd nie włączono do tej szkoły pewnych okresów twórczości Juliusza Słowackiego, zaliczanego jednak do niej trafnie przez wielu literatów obu narodów. Wystarczy wspomnieć czy to pieśń o „Runku młodym“, czy „Sen srebrny Salomei“ lub poszczególne partje „Beniowskiego“, a nie zapominajmy też, że Słowacki jest autorem „Mazepy“, w którym to utworze przyszły hetman występuje coprawda jako żądny przygód młodzieniec, ale honor tego „syna kozackiego“ przedstawił mistrz poezji naszej barwami, bijącemi nieskazitelnym blaskiem.

A „młodzi poeci polscy szkoły ukraińskiej“?

A dział historii sztuki? A malarstwo A. Nowakowskiego i stosunek jego do Polski?

I te kwestje i inne podobne zasługują na rzeczowe ujęcie i zbadanie. W szczególności zaś wszystkie ich punkty styczności polsko-ukraińskie.

Towarzystwo naukowe polsko-ukraińskie trzeba założyć i trzeba przygotowywać materiały dla jego „kwartalnika“. Tow. naukowe im. Szewczenki we Lwowie i Naukowy Instytut Ukraiński w Warszawie mają inne zadania. Wspólnych badań platformę może dać tylko ad hoc stworzone Towarzystwo polsko-ukraińskie.

Jerzy Pogonowski.

MYŚL ZACHOWAWCZA A SPRAWY URZĘDNICZE.

W chwili tworzenia administracji Odrodzonej Polski i jej korpusu urzędniczego rzucono hasło ścisłej łączności idei demokratycznych z potrzebami i charakterem ruchu urzędniczego. Co więcej, niektórzy przywódcy tego ruchu o odcieniu radykalnem, wysunęli nawet pojęcie „pracownika“ wogóle, usiłując przekonać sfery urzędnicze o identyczności interesów robotników i wogóle pracowników fizycznych z interesami urzędników, jako należących do rodziny „pracowników“ na równi z robotnikami. Nie można powiedzieć, jakoby teorie te przyczyniały się do podniesienia autorytetu urzędników państwowych i samorządowych wobec ludności, która pod wpływem tych teorii, szeroko głoszonych, zaczęła uważać urzędników za biedaków, borykających się ciężko z losem, przenosząc to pojęcie w konsekwencji na państwo, którego oni są reprezentantami.

Na Międzynarodowych Wykładach Nauk Administracyjnych i Gospodarczych, które odbyły się w lipcu r. 1932 w Gdyni, jeden z wybitnych czechosłowackich profesorów prawa administracyjnego w wykładzie swoim poruszył pytanie, skąd ma czerpać autorytet wobec ludności urzędnik w republikańskim państwie powojennem? W przedwojennych monarchjach — mówił on — urzędnik czerpał swój autorytet z osoby monarchy, którego był przedstawicielem; obecnie autorytet ten odpadł — skąd więc urzędnik ma go czerpać? Profesor ów doszedł do słusznego przekonania, że źródłem autorytetu urzędnika wobec społeczeństwa w państwie republikańskim powinna być jego osobista wartość.

Dodać tu jeszcze można, że myliłby się ten, kto by twierdził, że urzędnik w państwie republikańskim autorytet swój czerpie z zaufania ogółu — „ludu“ — który czując się źródłem władzy w państwie, widzi w urzędnikach mandatarjuszy swojej wszechwładzy, a więc odbicie swego autorytetu własnego. Uważanie urzędników za zwierciadło powagi tych — wobec których ci urzędnicy mają właśnie sprawować władzę, nie nadałoby im potrzebnego autorytetu, choćby z tego względu, że wobec rozbicia społeczeństwa na partje polityczne, znikoma chyba tylko ilość urzędników mogłaby być uważana za mężów zaufania i mandatarjuszy ogółu. Autorytet urzędnika musi mieć więc za źródło jakiś czynnik zewnętrzny, którym w dawnym państwie monarchicznym był majestat głowy państwa, a którym w państwie republikańskim może być tylko osobista wartość tych, którzy władzę państwową wobec ludności reprezentują. Zasada ta bardzo silnie zbliża się do ideologii stronnictw zachowawczych. Przecież właśnie ugrupowania zachowawcze autorytetu swojego nie opierają na mandatach ze strony szerokich mas, lecz na wysokich indywidualnych walorach swoich nielicznych członków. Dlatego też zasada, że urzędnicy publiczni autorytet swój muszą czerpać przede wszystkim ze swojej wartości indywidualnej, może ze strony ugrupowań zachowawczych tylko doznać uznania i poparcia.

Jeżeli chodzi o stronę materialną sprawy urzędniczej, a w szczególności o dziedzinę uposażeń, względnie emerytur, to ideologia, o której wspomnieliśmy na wstępie, a mianowicie ścisłe łączenie pod pojęciem „pracowników“ zarówno urzędników publicznych, jak i robotników i wszelkich innych pracowników, wpoila szerokim rzeszom urzędniczym przekonanie, że te kierunki, które tę zasadę wysunęły i propagowały, są ich bytu materialnego najpewniejszym sojusznikiem. A jednak zaszedł moment, kiedy sfe-

ry urzędnicze zorientowały się, że ideologia zachowawcza może być najpewniejszym sojusznikiem ich najistotniejszych praw materialnych. Miało to miejsce wówczas, gdy po raz pierwszy zanosilo się na naruszenie w drodze ustawowej już nabytych praw emerytalnych, co też nastąpiło. Wówczas przedstawiciele organizacji urzędniczych, nawet bardzo radykalnie nastroszeni, przypomnieli sobie, że przede wszystkim w ugrupowaniach zachowawczych mogliby znaleźć należyte zrozumienie i odczucie zasady, że każde naruszenie w drodze ustawowej praw już nabytych stanowi równie pochylą, która, wskazując drogę odbierania dobrze nabytych praw przez wszechmocne ustawodawstwo, może w konsekwencji doprowadzić do systemu — bolszewickiego. Wszak kiedy w swoim czasie wywłaszczano ziemię polską pod zaborem pruskim, rozumniejsi konserwatyści pruscy podnosili, co prawda bardzo ostrożnie, obawy, że taka eksproprijacja może być niebezpiecznym wskazaniem drogi żywiołom, które ten precedens mogłyby kiedyś wykorzystać w kierunku dla nich niepożądanym, zwracając się przeciwko nim samym.

Wiadomo mi, że pewni przedstawiciele organizacji urzędniczych zwrócili wówczas uwagę niektórych działaczy konserwatywnych na ścisłą łączność obrony praw nabytych z programem zachowawczym. Szkoda jednak, że moment ten nie został wówczas należyście wyzyskany. Ale już sam fakt, że organizacje urzędnicze, które szukały dotychczas swoich sojuszników wśród przedstawicieli kierunków demokratycznych i radykalnych, przypomniały sobie o ideologii zachowawczej i u jej przedstawicieli usiłowały szukać pomocy w obronie swoich praw i interesów, był symptomatyczny i jako taki wartościowy. Należy o tem pamiętać na przyszłość.

Charakterystycznym jest również sposób odnoszenia się ugrupowań zachowawczych do spraw urzędniczych, je-

żeli chodzi o zasadniczy punkt wyjścia ich traktowania. Ugrupowania demokratyczne i radykalne, okazując swoją sympatję ruchowi urzędniczemu, traktują to przedewszystkiem jako posunięcia agitacyjne, mające na celu pozyskiwanie głosów na wypadek wyborów lub bezpośrednio z okazji wyborów. Natomiast dla tych ugrupowań zachowawczych, które reprezentują czystą ideologję interesu państwowego, sprawa bytu urzędników i ich autorytetu przedstawia się jako sprawa autorytetu państwa, którego ci urzędnicy są organami. Artykuł „O utrzymanie się na powierzchni“, umieszczony w „Czasie“ w r. 1931, a ostrzegający przed skutkami ciągłego obniżania uposażeń urzędniczych, wychodził z założenia, że urzędnicy są organami państwa, a więc, że należy unikać wszystkiego, co obniża ich autorytet, jako tego państwa widomych reprezentantów.

Należy przypomnieć, że Komisja dla spraw administracyjnych Warszawskiego Oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej, której przewodniczył ś. p. Prof. Dr. Adolf Suligowski, a której zastępcą przewodniczącego jest niżej podpisany, urządziła w swoim czasie konferencję, poświęconą sprawie urzędniczej, na której jako referenta uproszono jednego z posłów-urzędników z poza Stronnictwa. Organ zarządu głównego Stowarzyszenia Urzędników Państwowych „Życie Urzędnicze“ podniósł następnie, że Stronnictwo Prawicy Narodowej było jedynem ugrupowaniem politycznem, które taką konferencję urządziło. Dodatnie wrażenie, które konferencja ta wywołała w sferach urzędniczych, spowodowane było właśnie tą okolicznością, że konferencja ta nie miała charakteru wiecowo-agitacyjnego, lecz że wypełniły ją jedynie i wyłącznie rozważania, jak należy postępować, aby unikać obniżania pozycji społecznej, a więc autorytetu urzędnika polskiego, jako przedstawiciela państwa. Również zorganizowana przez tę Komisję konferencja w sprawie znaczenia i stosowania rozporządzenia Prezydenta Rzplitej o organizacji władz admini-

stracji ogólnej i roli Rad Wojewódzkich i Wydziałów Wojewódzkich, kładła, między innymi, silny nacisk na rolę i autorytet organów państwowych.

Kiedy w grudniu 1931 staraniem Komisji dla spraw administracyjnych Warszawskiego Oddziału Stronnictwa Prawicy Narodowej odbyła się uroczysta akademja ku czci ś. p. Władysława Leopolda Jaworskiego, jeden z mówców, długoletni i zasłużony działacz konserwatywny, podniósł, że w dawnej administracji galicyjskiej, pozostającej w rękach konserwatystów polskich, wprawdzie wiele czasu było potrzeba, zanim utworzono nowy urząd, nowy etat urzędniczy i t. p., ale gdy go raz zdobyto i utrzymano, to było wykluczonem, aby się cofnąć i go stracić. Na tle kontrastu z błyskawicznymi „rozbudowami“ urzędów demokratycznych i radykalnych, które tworzyły różne urzędy i liczne stanowiska urzędnicze, po to, aby je potem „redukować“, tworząc i pomnażając rzesze bezrobotnej inteligencji, mnożąc żywioł niezadowolony i wywołując to ciągłe uczucie niepewności w administracji publicznej, wpływające demoralizująco na urzędników i osłabiające ich siły do pracy — jakże prawdziwem wydaje się zdanie, że konserwatysta stąpa powoli po mocnych i pewnych schodach, a radykał wspina się szybko po karkołomnej drabinie, którą często musi sam potem skracać!

Na zakończenie, zastrzegając się, że nie jest to regułą, gdyż sam znam wiele wyjątków, nie mogę się powstrzymać od uwagi, że zarówno obserwacje moje, jak szeregu innych osób, doprowadzają do wrażenia, że wyżsi przełożeni w administracji publicznej, należący do ugrupowań zachowawczych, wykazują w osobistym stosunku do podwładnych urzędników więcej poszanowania godności ludzkiej, niż przedstawiciele kierunków radykalnych. Wytłomaczenie tego zjawiska jest proste. Przedstawiciele kierunków zachowawczych już przy objęciu swojego stanowiska wnoszą do niego wielkie walory kultury osobistej, która, wyciskając swoje piętno na wszystkich przejawach życia, nie

może pozostać bez silnego wpływu i na osobisty stosunek przełożonego do podwładnych. Ta kultura osobista, ogólna, powoduje, że i ten stosunek specjalny posiada wszelkie cechy stosunku kulturalnego. Inaczej bywa często, chociaż na szczęście niezawsze, gdy przełożony, zawdzięczający swoje wysokie stanowisko nagłemu zbiegowi okoliczności, sam zdaje sobie sprawę jasno z tego, że, o ile chodzi o walory osobiste, nie tylko nie przewyższa on swoich podwładnych, ale czasami stoi od nich niżej. Stąd ciekawy i częsty objaw w ustroju demokratycznym: oparcie stosunku przełożonego do podwładnych na zazdrości i płynącej z niej złośliwości. Pragnę być sprawiedliwym i podkreślam raz jeszcze, że nie jest to, na szczęście, regułą. Sam znam liczne wyjątki. Ale z drugiej strony obserwuję, jak sfery urzędnicze coraz silniej nie mogą się oprzeć wrażeniu, że przełożeni o ideologii zachowawczej wnoszą, względnie wnosili, w stosunek do podwładnych urzędników znacznie więcej kultury i z nią połączonej życzliwości, niż to ma miejsce u licznych przełożonych, wyznających zasady demokratyczne. Czyż nie dowodzi to wypaczenia w praktyce zasad demokratycznych, które w rzeczywistości powinnyby dawać w stosunku do podwładnych efekt zupełnie inny?

Zauważyć muszę, że forsowane przez demokrację hasło „urzędnik jest sługą społeczeństwa“ nastęrcza poważne zastrzeżenia. Oczywiście, urzędnik publiczny powinien w granicach swoich obowiązków zaspakajać wszelkie słuszne żądania społeczeństwa, powinien je traktować z jak największą życzliwością i zrozumieniem. Zasada ta powinna obowiązywać w każdym ustroju i nie jest wcale specyficzną cechą ustroju demokratycznego. Ale natomiast wysuwanie hasła o urzędniku, jako „słudze“ społeczeństwa, hasła o momencie agitacyjnym, niepotrzebnie jego autorytet obniża, gdyż szerokie sfery nie rozumieją tego hasła w jego przenośni prawniczej, lecz zupełnie dosłownie, co między innymi dawało moralne podstawy do dro-

biazgowych interwencji posłów w urzędach publicznych, od których wymagano, wbrew wszelkim zasadom podziału władz, bezpośredniego posłuszeństwa dla interwenujących przedstawicieli demokratycznego parlamentaryzmu.

Znany i szeroko komentowany w sferach urzędniczych był w swoim czasie fakt, gdy pewien minister, który stale i przy każdej sposobności podkreślał swoje zasady „demokratyczne“, podał do wiadomości podwładnych, że nie przyjmuje żadnego urzędnika w sprawach personalnych (!), zapominając o tem, że obowiązkiem każdego dobrego szefa-gospodarza urzędu jest orjentować się jaknajdokładniej w podwładnym mu aparacie i udostępnić w tym celu przystęp urzędników do siebie. Jaki kontrast tego „demokratycznego“ wice-ministra, który oczywiście na stanowisko to wypłynął dzięki swojej „demokratycznej“ pracy politycznej, z dawnymi konserwatywnymi Namiestnikami b. Galicji, którzy uważali za swój obowiązek przyjmować i wysłuchiwać każdego, choćby najniższego urzędnika, który pragnął im przedłożyć swoje prośby czy żale! Tak, ale ci Namiestnicy wnosili już przy objęciu swego urzędu do niego całe bogactwo czy to wielkich tradycji historycznych swego rodu, czy to potęgę umysłu uczonego, czy wreszcie olbrzymie doświadczenie długoletniej służby administracyjnej. Czyż można się dziwić, że i do osobistego stosunku do urzędników wnosili oni więcej kultury, niż różni bezwartościowi karjerowicze-demagodzy, przypadkowo wysunięci na kierownicze stanowiska?

Sfery urzędnicze powinny się zastanowić nad tem, czy w ideologii zachowawczej nie mogą znaleźć sojusznika swoich dążeń w kierunku wzmocnienia autorytetu organów władzy publicznej i obrony ich praw.

Tadeusz Hilarowicz.

KRZEPNIĘCIE MASONERJI.

Prawdziwa wiedza historyczna, to wykrywanie w każdym okresie czasu tych tajemnych sprężyn, które przygotowały wielkie przemiany ważkich okoliczności, wśród których one mogły się dokonać“. Słowa te Bossuet'a nabierają szczególnego zabarwienia i znaczenia, kiedy się bierze pod uwagę wielkie wpływy masonerji na rozwój wypadków historycznych, także współczesnych. Wszak Hiszpanja i Meksyk wołają na głos: katolicy, strzeżcie się i brońcie przed wolnomularstwem! W ostatnich latach z powodu swarów masońskich, których wrzawa wydobywała się poza kulisy na widownię, „zdawało się“ rozmaitym łatwowiernym katolikom, że wpływy masonerji przycichły, albo, że raczej fanatycy przeciwmasońscy tak bardzo pochopni są do przesady. A tymczasem podkopy stale się kują, ciągle przygotowuje się zamachy, raz przygotowania krótsze, raz dłuższe, to podkłada się dynamit, detonacje to słabsze, to silniejsze, tak samo szkody — ale tajemnicza potęga prze bezustannie naprzód i osobliwie po przewrocie hiszpańskim, wśród szалу stale rosnącego prześladowania, może budzić prawdziwą grozę.

Nie wszystko wychodzi na jaw, dużo jest z katolickiej strony domysłów i przypuszczeń, które należy brać krytycznie, ale jednak prasa, miesięczniki, książki, źródła masońskie, dostatecznie dużo ujawniają, żeby sobie jako tako wierny obraz o wolnomularstwie móc wytworzyć.

W pierwszym rządzie uderza liczbowa siła. Czteroczy pięciomiljonowy zespół, zwarty w sobie i władny na zewnątrz, dążący do jednego celu, do opanowania świata i przerobienia go według laicystycznych zasad masońskich, stanowić może potęgę. Wprawdzie kilka tych milionów

wobec 350 milionów katolików mogłyby się przedstawiać znikomo, ale trzeba pamiętać, że te cztery miliony, to niemal sami przywódcy, to ludzie wpływowi, dzięki stanowi-skowi politycznemu czy społecznemu, dzięki bogactwom, czy pokrewieństwom i powinowactwom, to mocarze pióra, czy słowa, to mówiąc językiem potocznym: wybrańcy losu. Masonerja, chcąc utrzymać się jako elita wtajemniczonych, nie przyjmuje członków masowo, jej nie chodzi o ilość, lecz o jakość, dobiera ich sobie bardzo skrupulatnie, przepuszcza przez filtr 30 czy 33 stopni, doświadcza i wiąże i czuwa. Masonerja woli oddziaływać za pomocą latomizacji *) na szersze koła, zupełnie tego nieświadome, że są narzędziami tajemniczej potęgi. To też w całej Europie liczba członków dochodzi zaledwie trzech czwartych miliona, z czego przeszło połowa przypada na Anglię, a główna siła, trzy i pół miliona, to zespół w Stanach Zjednoczonych.

Mimo tego doboru liczby stale rosną! 1926 r. było wolnomularzy tylko 3.576.424. A trzeba tu doliczyć jeszcze zespoły kryptomasońskie, od których w Stanach Zjednoczonych się roi, tych „Szlachetnych mistycznej skrzyni“, tych „Zastłoniętych proroków“, te „Córy Nilu“ i t. p., choć i kobiety mają swoje własne loże, czy wspólne z mężczyznami. W ostatnim czasie zwraca się szczególną uwagę na Rotary International czyli rotaryzm, który od 1905 r. powstania (w Chicago) wzmógł się nadzwyczajnie, bo rozpowszechnił się w całym świecie i w 1931 roku liczył 158.000 członków w 3600 klubach rotarjańskich.

W Europie, a zwłaszcza we Francji, rzuca się w oczy „Liga praw człowieka“ (Ligue des Droits de l'Homme), która powstała w Paryżu 1898 r. Mimo pięknej nazwy, należy ona również do pomocniczych rezerw masonerji, bo w jej Komitecie głównym wielu znachodzi się wolnomularzy, a jej przewodniczącym przez długi czas był głośny mason, Ferdinand Buisson.

*) Z greckiego latomos — kamieniarz. Oznacza promieniowanie ducha masońskiego między niewtajemniczonymi.

W obliczu niebezpieczeństwa masonskiego pocieszano się do niedawna rozróżnianiem między masonerją anglosaską, wierzącą w „Wielkiego Budowniczego wszechświata“ i ateistyczną romańską, zależną od „Wielkiego Wschodu Francji“ (Grand Orient de France), który tę wiarę w r. 1877 zarzucił. Tymczasem ściślejsze badania ostatnich lat wykazują coraz dowodniej, że i teizm anglosaskiej masonerii i wogóle jej wiara w życie nadprzyrodzone, mimo tej zakonnej czci dla biblii, są bardzo wątpliwe. Już Leon XIII w swojej sławnej encyklice przeciwmasońskiej „Humanum genus“ z 20 kwietnia 1884 r. stwierdzał: „Zdeklarowanych ateistów przyjmuje się tak samo łatwo do masonerii, jak tych, którzy wierzą w Boga“. Jednak zdawać się mogło, że anglosaski odłam szczerze podtrzymuje przeciwko francuskiemu Wielkiemu Wschodowi wiarę w Boga, którą wylicza między swemi zasadami, czyli landmarks. Tymczasem według autorytatywnych wolnomularzy tego „Wielkiego Budowniczego wszechświatów“ można rozmaicie pojmować, nie potrzeba go zaraz brać jako transcendentálną osobowość. Nawet obłudny Lennhoffi, który stara się murzyna z Rue Cadet (Grand Orient) wybielić, pisze o wierze w Boga w znaczeniu niedogmatycznym. Wyrażnie zaś tłumaczył tę wiarę już w r. 1874 na łamach „Przeglądu masonerii włoskiej“ (Rivista della Mass. Ital.) długoletni Wielki Mistrz, Celisse Bacci:

„Teraz wiedzą już chyba wszyscy, że formułka o Budowniczym świata, zgodnie z ogólnem przekonaniem, nie ma jakiegoś ekskluzywnego, a tem mniej religijnego znaczenia. To takie sobie wyrażenie, które może odpowiadać smakowi każdego wolnomularza, nawet ateisty“.

Gorzej! Sarni Anglicy jakgdyby zwątpili o podtrzymaniu swoich landmarks, dotyczących życia nadprzyrodzonego. Tak w r. 1912 dopuścili na zebranie „Międzynarodowego Klubu Masońskiego“ (International Music Club) w Londynie delegata Wielkiego Wschodu z Paryża, Bertholon'a; tu śmiały Francuz wobec napiętej uwagi zebranych

stwierdził, że Wielki Wschód, usuwając ze swojej konstytucji wszelką aluzję do wiary w Boga i w nieśmiertelność duszy, poprostu wrócił do konstytucji Anderson'a z r. 1723. Jeszcze znamiennejszem, że wielka Loża Zjednoczona angielska, wypisując 4 września 1929 r. 8 warunków, potrzebnych do przyjęcia innych lóży w zasięg swojej obediencji, nie domaga się już wiary w nieśmiertelność duszy. A i żądanie przyznania się do Wielkiego Budowniczego Świata i jego woli objawionej jest bez znaczenia, bo ten „Budowniczy“, to tylko symbol, a ta „osoba objawiona“, to zdaje się, że są nietylko biblja, ale i inne dzieła „natchnione“. To też Jezuita Sinthern, zastanawiający się nad stosunkiem masonerji do ateizmu, dochodzi do następujących wniosków:

„Wszystkiego, czego się uczy (w masonerji), uczy się tylko w symbolach, które dzięki niejasności pozwalają i na przeciwne tłumaczenia; może tam sobie ktoś we wzywaniu Budowniczego Świata widzieć wyznanie i uznanie Boga, to jednak wolno też każdemu „symbol“ ten wyklądać ateistycznie i rozumieć go, jako abstrakcyjny „umysł Świata“, albo, żeby użyć zwrotu Lennhoff'a, „kamień węgielny całego gmachu masońskiego“.

I ten oto tajemniczy zespół, bez wątpienia podkopujący wiarę w życie nadprzyrodzone, właśnie w ostatnich latach cieszy się rosnącym stale powodzeniem, a co jest wprost tragiczne, w krajach katolickich, gdzie otwarte wywołuje prześladowania religijne. O związku masonerji z uciskiem katolików w Meksyku pisało się już dostatecznie. Nowym wielkim, a nawet większym, niż w Meksyku, tryumfem wolnomularstwa, to przewrót w arcykatolickiej Hiszpanji. Że masonerja brała w nim udział, tego można się było domyślać; z czasem jednak ujawniły się i wyraźne tego dowody, bo sami wolnomularze otwarcie i publicznie obnosili swoją radość z dokonanego dzieła. Już w tomie X-ym „Roczników Katolickich“ wskazywałem na niesłychaną tolerancję monarchistycznej dyktatury w stosunku

do wolnomularstwa; kiedy w r. 1923 były tam 43 loże, liczba ich w ciągu 4 lat podniosła się do 127 i masoni zajmowali wpływowe stanowiska. Mimo tej jednak stosunkowo znikomej liczby, zdołali opanować położenie i swoje zamiary w czyn wprowadzić. To też wysoko postawiony mason, a od jesieni 1932 r. premier hiszpański, Azana, po przeprowadzeniu ustaw przeciwkościelnych wołał w Korteżach: „Hiszpanja przestała być katolicką“. W prowizorycznym rządzie objęło odrazu kilku wolnomularzy teki ministerjalne. Dyrekcja Wielkiej Loży Hiszpanji wita tryumfalnie w osobnej odezwie nową republikę, krótko po jej ogłoszeniu, stwierdzając m. in.:

„Jako Hiszpanie i wolnomularze, patrząc na prawne stwierdzenie liberalnej budowy nowego państwa, które zawdzięcza swoje powstanie nieśmiertelnym zasadom Wschodu, nie możemy tać naszego pełnego zadowolenia. Kiedy wschodzi słońce dla Zachodu, wita je okrzyk nowego dnia... Wolnomularzom, wchodzącym w skład rządu prowizorycznego, zespołowi wysokich urzędników, złożonemu również i w większości z wolnomularzy, składamy nasze życzenia. Niechaj będą lojalnymi stróżami tych moralnych skarbów, im powierzonych i niech przez republikę spełnią przeznaczenie Hiszpanji“.

Do tych wyrazistych i groźnemi zapowiedziami nabrzmiałych słów trudno coś dodawać. Wolnomularstwo przyznaje się tu, jako ojciec do swojego dziecka; a chyba jeszcze wyraźniej zaznacza tajemna potęga swój udział w przewrocie, kiedy pisze na łamach „Urzędowego Biuletynu“ i masońskiego „Przeglądu Najnowszej Rady Stopnia 33“ (Boletin oficial y Revista masonica del Supremo Cornero del Grado 33):

„Nowa rzeczpospolita przyszła na świat wolna od wszelkich grzechów, a posiadająca w całej pełni wszystkie wielkie zalety cywilne. Można powiedzieć, że jest ona doskonałym obrazem, tworzonym słodkimi dłońmi naszych

doktryn i zasad. Nie możnaby poprostu zrealizować innego lepszego przykładu politycznej rewolucji, która by była doskonałą masońską, jak rewolucja hiszpańska“.

W uzupełnieniu trzeba jednak stwierdzić, że dzieła rewolucji dokonali wspólnie masoni, zależni od Wielkiego Wschodu i socjaliści z II Międzynarodówki, pod egidą żydów (aszkenazim). Odrazu też żydujący katolicy, czyli marrani, w rodzaju takich, jak Zamora, Maura i Delos Rios, znaleźli się w rządzie, odrazu zniesiono prawa przeciwydowskie i otwarto żydom wszędzie na oścież wrota.

Z przykrem zdumieniem należy tu podkreślić wpływy masońskie we Włoszech. Świat katolicki patrzył z zadowoleniem na „zniesienie“ wolnomularstwa w kraju nadtybrzańskim, śledził surowe przepisy, dotyczące urzędników, oddanych obcej potędze masońskiej i był przekonany, że ostrze tajemnej potęgi, jeśli nie jest całkiem złamane, to na dziesiątki lat stępione. A tu, około r. 1930, zaczyna się powoli ujawniać, że jednak Mussolini'ego stosunek do masonerii jest mocno podejrzanym. Otóż latem 1931 stara się A. Guissau na łamach „La Croix“ w kilku artykułach wykazać, że il Duce nie zerwał z całą masonerią. Zniszczył wprawdzie wpływy Wielkiego Wschodu, mającego swoją siedzibę w pałacu Giustiniani, ale utrzymuje stosunki z Najwyższą Radą Wielkich Łóż na Piazza de Gesù. Dowodem na przykre te fakty, że między bliskimi współpracownikami Mussoliniego byli, czy są, tacy znani wolnomularze, jak Raul Palermi, Italo Balbi, M. Farinacci i że za pośrednictwem Palermi'ego, honorowego wielkiego komandora amerykańskiej masonerii, udało się w Stanach Zjednoczonych uzyskać korzystną pożyczkę.

Podobnie i masonka Marja Rygier, w swoim dziele „La Franc-Maçonnerie Italienne devant la guerre et devant la Fascime“, wykazuje, że wolnomularze zajmują wpływowe stanowiska w faszyzmie i że to Palermi, Wielki Mistrz Wielkiej Łoży włoskiej, był głównym winowajcą w przesładowaniu Wielkiego Wschodu.

Również na korzyść wzrastającej potęgi masońskiej świadczy okrzepnięcie „Międzynarodowego Stowarzyszenia Masońskiego“ (Association Maçonique Internationale, A. M. I.), powołanego do życia w r. 1921 i nabierającego rozmachu dzięki usilnej pracy pastora Quartier'a de la Tente († 1925). Po wystąpieniu wpływowej loży nowojorskiej, rzekomo ze względu na bezbożne zasady Stowarzyszenia, po wycofaniu się Wielkiej Loży holenderskiej, po najrozmaitszych innych niepowodzeniach w akcji nad skupieniem wszystkich łóż, zdawało się, że szwajcarska A. M. I. jest w rozkładzie, pobita przez „Universala Francmasona Ligo“, mająca swój ośrodek w Wiedniu. Tymczasem ostatnie lata wykazały znowu żywotność tego A. M. I. Przy końcu roku stwierdzono z tryumfem, że do „Stowarzyszenia Międzynar. Mas.“ (A. M. I.) należy aż 30 obedjencji, między którymi znajdujemy Wielką Lożę Polski. Jego wpływy i z tego są widoczne, że pośredniczy ono w sporach między Wielkim Wschodem Francji a Wielką Lożą Francji, mającą swoją siedzibę na rue Pateaux 8, w dawniejszym klasztorze franciszkańskim. Widocznie znaczenie A. M. I. podniósł Wielki Kanclerz John Mossax.

Tak się to okazuje, że mimo wewnętrznych swarów, jakie rozszkoły się szczególnie między lożami niemieckimi a pruskiemi i pruskiemi a austriackimi, jakie trwają między wolnomularstwem anglosaskim a romańskim, a dalej między lożami francuskimi a pruskiemi, jednak tajemna potęga zostaje mocarstwem międzynarodowym. Buzdzi ona z jednej strony bałwochwalczą cześć, zwłaszcza między fanatycznymi czy karjerowiczowskimi członkami, z drugiej uzasadniony lęk w obozie katolickim.

Tajemna potęga ukrywa w sobie jeszcze jedną tajemnicę. Jest nią stosunek do żydostwa. Że duch żydowski ożywił obrządki i nazwy masońskie, to nie ulegało nigdy kwestji, nie wykazano jednak, że ruch ten jest żydowskiego pochodzenia. Zato faktem jest, iż przez długi czas żydom broniono wstępu do masonerji.

Lecz już po Wielkiej Rewolucji żydzi urządzili formalny najazd na łoże francuskie, w Niemczech zaś dopiero w ciągu 19-go wieku tam się usadowili. Dziś, jak stwierdza znawca Gustave Gautherot, mocarstwo żydowskie dąży do opanowania mocarstwa masońskiego i użycia go do swoich celów, jakoby żydzi byli jego twórcami, jakoby połączenie tych dwu mocarstw było normalnem urzeczywistnieniem starodawnych dążeń i wiekowej nienawiści bogobójczego narodu. To też we Francji, gdzie wpływy masonerii od dziesiątków lat dawały się we znaki, pisze się otwarcie o judeomasonerii. X. Ernest Jouin, znany bojownik przeciwmasoński i twórca Ligi przeciwmasońskiej, ukuł nawet takie powiedzenie, że Izrael jest królem, mason szambelanem na jego dworze, a bolszewik jego katem (Israel est roi, le maçon est son chambellan, le bolcheviste son bourreau).

Masoneria, dążąca do opanowania świata i przesyceńcia go swemi przyziemnymi doktrynami, napotyka na swojej drodze potęgę, jej djametralnie przeciwstawioną, mającą na celu prowadzenie ludzkości ku przystani nadprzyrodzonej. Stąd tajemnicza mafja uważa Kościół za największego swojego wroga. Potępiona już w r. 1783 przez papieża Klemensa XII i przez cały szereg jego następców, młota się we wściekłym szale przeciwko Instytucji Chrystusa. A co najciekawsze, ożywia ją jakiś fanatyzm sekciarski i jakaś ciasna ekskluzywność tak, iż się ją nazywa Contre-Eglise (Przeciwkościółem) i pisze się o „klerykaliźmie masońskim“. Rozmaite odłamy masonerii mogą się ze sobą kłócić, mogą się nawet zaciekle zwalczać, ale gdy rzuci się hasła utworzenia wspólnego frontu przeciw katolicyzmowi, wtedy skłócone do niedawna żywioły zgodny podejmują marsz. A jak umiejętnie, systematycznie, perfidnie osłaniają gwałty słodkimi słówkami o humanitaryzmie, czy szumnymi zwrotami o postępie, jak znęcają się nad katolikami, o tem ciągle nam głoszą karty współczesnej historii meksykańskiej i hiszpańskiej, karty, łzami i krwią ociekające.

A jednak można było zauważyć w ostatnich latach przedziwny objaw: wolnomularze usiłowali zbliżyć się do katolicyzmu. To znane dysputy przedstawiali wiedeńskiej „Allg. Freimaurerliga“ z Jezuitą, O. Gruberem, w Akwizgranie w r. 1928. Nie wiadomo jeszcze, co skłoniło takich wpływowych masonów, jak Lennhoffa i Reichela z Wiednia i Ossiana Langa z Nowego Jorku, do tak dalekiej podróży — czy lęk przed niebezpieczeństwem bolszewickim, oskrzydlającem masonerję, czy chęć wywiedzenia w pole „pocziwych“ katolików, czy chęć zdobycia sobie nowych sprzymierzeńców, których będzie można lepiej wyzyskać, dość, że rozmowy takie się odbyły. Jednak owocu praktycznego nie przyniosły, chyba tylko ten, że masoni znowu się przekonali o czujności Kościoła i okryli się wstydem. Musieli się przecież potem na łamach „Wiener Freimaurer-Zeitung“ bronić, że podróż ich do Akwizgranu nie była pójściem do Kanossy“ (art. „Unser Gang nach Canossa“).

Mimo tylokrotnie ujawnionej wrogości ze strony masonerji, katolicy zbyt mało uwagi poświęcali i poświęcają walce przeciwmasońskiej. A chodzi tu w pierwszym rzędzie o demaskowanie, o wykrywanie tajemnych podkopów, wśród których zakłada się miny przeciw Kościołowi. Najwięcej czyni się jeszcze we Francji i w Niemczech. We Francji jeszcze w połowie 19 w. katolicy obawiali się zwracać uwagę na wpływy masońskie. Dopiero uczony Augustin Cochin (1823 — 1872), autor znakomitego dzieła o „Zniesieniu niewolnictwa“ (l'Abolition de l'esclavage), stworzył osobną szkołę historyków, która wolnomularskiemu zagadnieniu poświęciła swoje badania. W ostatnich latach założono osobny Augustin Cochin-Cercle, który wziął sobie za zadanie prowadzenie studjów krytycznych nad masonerją. Pierwszem ze stowarzyszeń przeciwmasońskich jest L'Association antimaçonique de France, około którego poważne zasługi położył X. Tourmentin, jego sekretarz generalny. Od kilkunastu lat krząta się też „Ligue antijudéomaçonique“ X. Ernesta Jouin'a z Paryża, dająca

informacje i ostrzeżenia przez swój tygodnik „Revue Internationale des Sociétés Secrètes“ (8, Avenue Portalis, Paris). Przy tejże rue Portalis założono też w r. 1931 osobną bibliotekę przeciwmasońską, do której trzon zbiorów dostarczył niezamożny ks. prałat i proboszcz paryski. W Niemczech najwięcej sławy zdobyły sobie badania niedawno zmarłego Jezuity, O. Grubera. W Polsce, po śmierci Jezuity O. Załęskiego i bisk. Pelczara, nie mamy żadnego poważniejszego badacza rzeczy masońskich między katolikami.

Z tego wszystkiego widać, że jakkolwiek Kościół stanowi znakomitą organizację, to jednak katolicy tak często zawodzą w obronie jego ideałów, bo nie idą z pożądanym postępem i nie chronią się przeciwko takim wrogom, jak masoneria, poza okopy nowych szanów. Już św. Piotr w swoich listach wzywał do czynności wobec wroga, a tu właśnie katolicy ułatwili w Hiszpanji rozpanoszenie się wolnomularstwa, a i w Polsce nieświadomie mu pracę ułatwiają. Z poszczególnych zespołów zajmie się chyba sprawą masońskich podkopów właśnie Akcja Katolicka, boć ona zwłaszcza winna stanowić przeciwko nim tę „aciem bene ordinatam“.

X. Nikodem Cieszyński.

Często słyszy się twierdzenie: Kościół katolicki jest zakostniały w swoich dogmatach, nie idzie naprzód, a tem samem cofa się.

Jak jednak żywotnym i dostosowanym do wszystkich czasów jest Kościół katolicki, o tem świadczy doktryna katolicka, która znakomicie znajduje wyraz — jeśli chodzi o zagadnienia aktualne, o problemy danej doby — w encyklikach i innych orędziach papieskich.

Czasy obecne, pozostające pod znakiem wspaniałego rozwoju techniki, który spowodował olbrzymie zmiany w dotychczasowej strukturze gospodarczej, a co za tem idzie, również w strukturze społecznej, wymagają też częstych objaśnień z autorytatywnego źródła, jak wierni winni ustosunkowywać się do wyłaniających się coraz to nowych zagadnień. I tutaj trafnie można zastosować powiedzenie, że Opatrzność zsyła Kościołowi w ważnych lub ciężkich chwilach wielkich papieży. Pius XI jest tego najżywszym dowodem.

Wobec ogromu trudnych zadań, piętrzących się przed Kościołem, staje papież o niezwykle szerokich horyzontach duchowych, staje uczony. Wystarczy uświadomić sobie zasięg i liczbę znakomitych orędzi tego papieża, który już obecnie, po 11-tu zaledwie latach rządów Kościołem, stanął w rzędzie wielkich papieży, ażeby zrozumieć ich doniosłość dla Kościoła, a w wielu wypadkach dla całego świata cywilizowanego. Począwszy od wielkich problematów ogólnoludzkich, jak ustrój społeczny, chrześcijańskie wychowanie, instytucja małżeństwa, a skończywszy na najaktualniejszych sprawach doby naszej, jak kryzys gospo-

darczy, zbrojenia i t. p. — we wszystkich tych kwestjach słyszymy z wyżyn Watykanu głos Piusa XI.

Jednym z najważniejszych wśród tych orędzi Piusa XI-go jest wielka encyklika o odnowieniu ustroju społecznego, słynna „*Quadragesimo anno*“, ogłoszona 15 maja 1931 r., czyli w czterdziestą rocznicę ogłoszenia przez Leona XIII wielkiej encykliki „*Rerum novarum*“. Jest to bardzo obszerny dokument, ujmujący w niezwykle zwięzły i jasny sposób najważniejsze problemy społeczne i gospodarcze doby obecnej z punktu widzenia doktryny katolickiej. Orędzie to łączy się ściśle z encykliką „*Rerum novarum*“. Podczas, gdy ta ostatnia ujmuje w znakomity sposób całokształt licznych i zawitych zagadnień, o których powyżej mowa, oraz stwarza trwałe podwaliny dla wielkiego gmachu doktryny katolickiej w tej dziedzinie, to druga objaśnia podstawowe zagadnienia, poruszone w pierwszej, uzupełniając ją z konieczności ze względu na zmienione pod wielu względami warunki w dobie obecnej.

Ograniczymy się do omówienia najważniejszych problemów, poruszonych w tem wielkiem orędziu Piusa XI.

Znakomite są wywody na temat zagadnienia własności. Katolicka doktryna nigdy nie negowała, ani nie podawała w wątpliwość własności w jej podwójnej postaci, t. j. indywidualnej i społecznej, posiadającej zarazem dwa skopuły, które musi omijać, a mianowicie indywidualizm, równający się zaprzeczeniu, względnie osłabieniu społecznego charakteru prawa własności, oraz kolektywizm, który niweczy, względnie osłabia prywatny charakter tegoż prawa. Jeśli władza publiczna uzgadnia prywatną własność z potrzebami ogółu, nie jest to działalnością wrogą wobec właścicieli, lecz przeciwnie, zapobiega to odchyłaniu się własności prywatnej od jej naturalnych celów i kroczenia ku jej zgubie; nie zaprzecza to prawa własności, ani go nie osłabia, a natomiast zabezpiecza i wzmacnia. Ponieważ jednak dochody z tej własności, przewyższające potrzeby ży-

ciowe danych jednostek, pozostawione są do ich dowolnego rozporządzania, występuje tu Kościół, nakazując używanie tych nadwyżek na cele dobroczynne i pożyteczne. Z wadliwego pojmowania prawa własności wyłoniły się dwa wielkie, niebezpieczne błędy, a mianowicie z jednej strony źle pojęty kapitalizm, ze zgromadzonymi u bogatych kapitałami, a zarazem skrajną nędzą proletariatu; a z drugiej, wywołany przez reakcję socjalizm, zmierzający do upaństwowienia środków produkcji i spokrewnione z nim kierunki. Słuszność wymaga sprawiedliwego podziału pomiędzy poszczególne jednostki i stany bogactw, które się mnożą dzięki wielkim postępom w dziedzinie ekonomicznej. Przytem zachowany być musi oczywiście wzgląd na dobro ogólne.

Również sprawa wynagrodzenia za pracę omówiona jest szeroko w tej encyklice. Jakkolwiek najem pracy z punktu widzenia doktryny katolickiej nie jest zjawiskiem, z natury swej niesprawiedliwym dla robotnika, tem niemniej należy dążyć do zainteresowywania robotnika bądź to w zyskach, bądź w administracji przedsiębiorstwa, bądź też w jego współwłasności. Wynagrodzenie za pracę stanowi sprawę pierwszorzędnej wagi, zarówno ze względu na obowiązki rodzinne robotnika, jak też z uwagi na dobro ogółu, a to wobec ujemnych następstw dla pokoju społecznego, jakie zbyt niskie wynagrodzenia często pociągają za sobą.

Następnie porusza encyklika „*Quadragesimo anno*“ jeszcze cały szereg ważnych zagadnień, jak uprawnienia państwa w dziedzinie społecznej i ekonomicznej, sprawę związków zawodowych, współpracy stanów, zasad organizacyjnych życia gospodarczego, panującej doktryny ekonomicznej, różnych kierunków społecznych, jak liberalizm, socjalizm i komunizm, wreszcie zagadnienie chrześcijańskiego odrodzenia moralnego.

W innem wielkiem orędziu, ogłoszonym 31 grudnia

1931 r., Pius XI wykłada autorytatywnie i z wielką mocą doktrynę katolicką o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży. Uzasadniwszy na wstępie nieodzowną potrzebę zabrania przez najwyższego kierownika Kościoła powszechnego głosu w tej kwestji, daje papież znakomitą charakterystykę istoty, ważności i wzniosłości chrześcijańskiego wychowania. Należy ono w szczególności do Kościoła, a to z tytułu porządku nadprzyrodzonego, a stąd wyższego od jakiegokolwiek innego porządku naturalnego. Dalej należy wychowanie do rodziny, jako wcześniejszej od państwa. Omawiając stosunek pomiędzy Kościołem i państwem, papież zaznacza, iż to, co powiedziane jest w powyższej encyklice o wychowaniu, opiera się na trwałym i niewzruszonym fundamencie nauki katolickiej, wyłożonej tak wspaniale przez Leona XIII, zwłaszcza w encyklikach „Immortale Dei“ i „Sapientiae christianae“. Bóg rozdzielił rządy rodzaju ludzkiego pomiędzy dwie władze: kościelną i świecką. Wykazawszy konieczność i wielki pożytek ze współpracy pomiędzy Kościołem i państwem w tej dziedzinie, zajmuje się omawiana encyklika przedmiotem wychowania, przyczem wiele miejsca poświęca seksualnemu wychowaniu i koedukacji. Scharakteryzowawszy obszernie dzieło wychowawcze Kościoła, przechodzi papież do definicji celu i formy wychowania chrześcijańskiego. Celem jego jest urobienie prawdziwego chrześcijanina, a taki jest zarazem najlepszym i najbardziej pożytecznym obywatelem.

Niezwykłe znaczenie posiada następnie encyklika „Casti connubii“ z 31 grudnia 1930 r., o małżeństwie chrześcijańskim. W trzech obszernych działach, zatytułowanych: 1) dary małżeństwa, 2) poniżenie małżeństwa oraz 3) środki odnowienia małżeństwa, daje papież wzorową syntezę tej podstawowej dla egzystencji rodziny, a tem samym społeczeństwa i państwa, instytucji, jaką jest małżeństwo. Na pierwszym miejscu mowa jest o potomstwie, jego zrodzeniu i wychowaniu, albowiem potomstwo jest

głównym celem małżeństwa. Następnie mowa jest o nierozwalności związku małżeńskiego, dobrodziejstwach z niej płynących, dalej o wierności i miłości małżeńskiej oraz sakramentalnym charakterze małżeństwa. Wiele miejsca poświęca papież w tem orędziu kwestji fałszywego zapatrywania na małżeństwo, nadużyć stąd wynikających, szczególnie zamachu na życie dziecka, wreszcie sprawie świeckiego pojmowania istoty małżeństwa, rozwodom i t. d. Co się tyczy kwestji odnowienia małżeństwa, wskazuje Ojciec św. na konieczność powrotu do idei Bożej małżeństwa, uległości wobec Kościoła i pamiętania o sakramentalnym charakterze małżeństwa.

Pius XI, sam uczony, wyłożył też w szeregu orędzi swoich znakomicie doktrynę katolicką w odniesieniu do nauki, przedewszystkiem w konstytucji papieskiej „Deus scientiarum Dominus“, ogłoszonej w 1932 r. Pozatem ukazały się ważne encykliki w tej dziedzinie, a mianowicie o tomiźmie „Studiorum Ducem“ z 1924 r.

W liście apostolskim o kryzysie gospodarczym, bezrobociu i zbrojeniach wojennych, ogłoszonym w 1931 r., daje papież syntezę dzisiejszych stosunków, wskazując na źródło zła, oraz nawołuje do nawrócenia z dotychczasowej drogi „zbrojnego pokoju“, który przyczynia się w znacznej mierze do powszechnego kryzysu materialnego i moralnego.

W proteście Ojca św. przeciwko gwałtom, popełnianym przez władze państwowe włoskie na instytucjach Akcji Katolickiej, jaki się ukazał 4 lipca 1931 r. w postaci encykliki „Non abbiamo bisogno“, ogłoszonej na łamach „Osservatore Romano“, wyłuszcza Pius XI doktrynę katolicką w dziedzinie stosunków między Kościołem a państwem. Papież występuje w tem orędziu jak najkategoryczniej przeciwko monopolizowaniu sobie przez państwo publicznego wychowania młodzieży. Protest ten wywarł niezwykle wrażenie w całym świecie, tem bardziej, iż uka-

zał się on w stosunkowo bardzo krótkim czasie po zawarciu układów laterańskich.

Autorytatywne oświetlenie problemu unijnego pojawia się w encyklice Piusa XI „Mortalium animos“ z 1929 r.

Tożsamo zagadnienie dzieła misyjnego, które Pius XI otacza szczególną troskliwością, znajduje znakomite oświetlenie w dwóch encyklikach „Rerum orientalium“ i „Ecclesiam Dei“. W orędziach tych wyłuszcza papież główne wytyczne w dziedzinie potężnej działalności misyjnej Kościoła; podkreśla potrzebę zwiększania liczby misjonarzy dla bezkresnych krain, zamieszkałych przez pogan, oraz większego zrozumienia u szerokich mas znaczenia działalności misyjnej, którą winny popierać ze wszystkich sił. Wspaniała wystawa misyjna, urządzona przed paru laty w Watykanie, zjednała pracom misyjnym niezwykły podziw całego świata.

W ważnej dziedzinie Akcji Katolickiej pojawia się również osobna encyklika, ogłoszona dn. 29 czerwca 1931 r., ujmująca całokształt tej, tak niezwykle rozległej domeny działalności Kościoła katolickiego.

Cały szereg orędzi poświęca Pius XI wielkim Ojcom i doktorom Kościoła. Pojawiają się encykliki o św. Augustynie, św. Franciszku z Assyżu, a ostatnio o Albercie Wielkim.

Wreszcie w encyklice „Ubi arcano“ z 1922 r. daje Pius XI-ty prawdziwą „magna charta“ środków, mogących uzdrowić ludzkość z niedomagań moralnych, jakie ją trapią.

Nie można tu również pominąć wspaniałej, przenikniętej miłością ojcowską papieża dla całego świata chrześcijańskiego encykliki „Quinquagesimo anno“, ogłoszonej 23 grudnia 1929 r. z okazji pięćdziesięciolecia kapłaństwa Piusa XI. Ojciec św. zwraca się w niej w niezwykle gorących i serdecznych słowach nie tylko do świata katolickiego, lecz do całego świata chrześcijańskiego, a szczególnie do Kościoła wschodniego. Jak wiadomo, Pius XI otrzymał

nadzwyczaj cenny dowód życzliwości Kościoła wschodniego z okazji jego jubileuszu, w postaci życzeń, złożonych mu przez oficjalne czynniki tego Kościoła.

Z powyższych szczupłych uwag wynika, że Pius XI systematycznie, z wielką mocą i wiedzą uczonego, wykłada autorytatywnie doktrynę Kościoła we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, dając konieczne objaśnienia i wskazania dla hierarchji kościelnej i wiernych, tak niezmiernie potrzebne w obecnych burzliwych czasach.

Emil Rewerowski.

GENEZA „ANTAGONIZMU” LITEWSKO-POLSKIEGO.

Wt. z. aksjomatach, definicjach, orzeczeniach, określe-
niach zawsze mieści się niejaki niebezpieczeństwo.
Umysł z łatwością przyswaja sobie pewne syntetyczne
uogólnienie, bądź to afirmatywne, bądź też negatywne; ma-
ją one pasjonujący urok prostoty i lakonicznej myślowej
zwięzłości. Określenia takie utrwalają się w umysłach,
z biegiem czasu galwanizują się w mózgu: nabierają do-
stojnej patyny rzeczy, zgóry oszacowanej, o wartości nie-
wzruszalnej, zaakceptowanej zdawna.

Odtąd określenia te stanowiąc będą jawny, oczywisty,
bezsprzeczny dorobek intelektualny, którym ludzie lubią
szafować przy lada okazji, jak brzęczącą monetą. I nikomu
nie przyjdzie do głowy określenia owe — pokryte pyłem
i pleśnią starości — wyjąć z lamusa, przyjrzeć im się uważ-
nie pod światło, przemyśleć je rzetelnie i dokładnie, prze-
puścić przez retortę zdrowego rozsądku.

Jakże często bowiem okazałoby się, że aksjomat, de-
finicja, orzeczenie, pozbawione zostały owego zdrowego
sensu! Ileż to razy pozostały z nich jeno mydlane bańki
o znanej formie i barwie, lecz — bez treści!

Brzęcząca moneta ileż to razy okazuje się zwykłym,
pospolitym liczmanem!

W koncepcji „Naszej Przyszłości“, dotyczącej bloku
dziewięciu państw Europy środkowo-wschodniej, jedną
z pozycji zajmuje Litwa.

I oto powstaje zagadnienie: w jaki sposób w ramach
projektowanego bloku uda się rozwiązać gordyjski węzeł
polsko-litewski, bez uciekania się do potępionej dziś po-
wszechnie metody Wielkiego Macedończyka? Jak rozplą-

tać kłębowisko wzajemnych pretensji, skarg, uraz, uroszczeń?

Zanim na innem miejscu omówimy sposób wyjścia z pożałowania godnego impasu, co zarówno po polskiej, jak i po litewskiej stronie staje się koniecznością aktualną i palącą — rozważmy wprzód sprawę genezy antagonizmu litewsko-polskiego. Dopiero bowiem, po gruntownych badaniach choroby, stawia lekarz ddiagnozę.

Wciąż, od lat tyłu, słyszy się o tym antagoniźmie, że wreszcie bierze chętką zanalizowania tego stanu rzeczy.

Co to jest antagonizm litewsko-polski?

Jakie są jego dowody?

Gdzie znajduje on swe źródło?

Dopiero po dokładnem rozważeniu tych spraw, będziemy mogli przekonać się o słuszności i o istnieniu owego przeciwdziałania dwóch sąsiednich narodów. Wówczas dopiero, po dotarciu do przyczyn i skutków — będziemy mieli pełny obraz stosunków polsko-litewskich. Wówczas też będziemy mogli określić, co to jest ów antagonizm Polski i Litwy.

O ile nie okaże się, że go wcale nie ma . . .

Z historii świata wiemy, iż w dawnych czasach państwa powstały w drodze podboju. Wandalowie podbili południową Hiszpanję, Hunowie zajęli Panonję, Gotowie manu militari opanowali Dalmację, Wizygotowie objęli Portugalję i t. d. I w czasach późniejszych powtarzają się te same pierwotne formy powstawania państw. W drodze orężnej, gwałtownej, nieprzyjacielskiej.

Postaramy się raz jeszcze dowieść, iż **p o l i t y k a**
p o l s k a w s t o s u n k u d o L i t w y z a w s z e
b y ł a n a w s k r o ś p o k o j o w a .

Litwa etnograficzna, zajmująca północne dorzecza Niemna, pozbawiona granic naturalnych, ze wszystkich stron narażona była na wrogą penetrację sąsiadów. Z zachodu groził jej Zakon Krzyżowy, który pełniąc zbyt gorliwie misję nawracania na chrześcijaństwo plemion bałtyckich,

zdołał być już pokonać i unicestwić plemiona Prusów i Jadźwingów. Ze Wschodu wciąż zagrażały Litwie księstwa ruskie, które powoli emancypowały się z pod jarzma Kipczaku, okazując silną energję ekspansywną.

Na południowym zachodzie wreszcie sąsiadowała Litwa z rozwijającą się i coraz potężniejszą Koroną Polską.

W ww. XIII i XIV etnograficzne plemiona litewskie objawiały ogromne dążenia imperjalistyczne. Podboje książąt litewskich sprawiały, iż granice Litwy z roku na rok pęczniały, posuwając się coraz dalej na wschód, coraz głębiej na południe. Doszło do tego, iż w chwili najsilniejszej prężności — etnograficzne terytorjum litewskie stanowiło zaledwie jedną dziesiątą część całego Wielkiego Księstwa Litewskiego. W tych warunkach stanęło przed obliczem Litwy niebezpieczeństwo groźne i nieuniknione: oto niepodobna było na dłuższą metę zatrzymać pod swoją władzą tego olbrzymiego konglomeratu, złożonego z różnych narodów i z różnych organizmów politycznych¹⁾.

Niebezpieczeństwo wzmagalo się, kiedy ziemie ruskie wyraźnie jeły grawitować ku wschodowi, kiedy sami litewscy ich władcy ruszczyli się z pokolenia na pokolenie. Z drugiej strony rozrost terytorjalny barbarzyńskiej, pogańskiej Litwy drażnił i prowokował tylko Krzyżaków.

Drobni książęta litewscy, luźno związani z metropolją, drogą związków familijnych łączyli się z książętami ruskimi i nader łatwo ulegali wyższej podówczas cywilizacji ruskiej. Na dworach litewskich językiem panującym stawał się język ruski. Wraz z ruszczyzną, przenikało na Litwę wyznanie wiary chrześcijańskiej obrządku wschodniego.

Te odśrodkowe dążności książąt litewskich, wzmagające się z biegiem czasu coraz wyraziściej, nie mogły nie zaniepokoić unifikatorów litewskich, z W. Księciem na czele. Litwie groziło rozpadnięcie.

¹⁾ Ks. Antoni Wiskont: Wielki Książę Lit. Witold a unja horodelska. Ateneum Wileńskie. Rocznik XII, Zeszyt 3 — 4. Wilno, 1930.

W tych warunkach propozycja wielmożów polskich, ofiarowująca Jagielle rękę królowny polskiej wraz z polskim tronem, nie była do pogardzenia. Przyjmując polską ofertę, mógł Jagiełło skutecznie stawić czoło przed zakusami Zakonu i przed uroszczeniami książąt litewskich, którzy jeli zdradzać skłonności separatystyczne.

Nauka dowiodła, iż Jagiełło pojmował te korzyści, jakie dać Litwie mógł związek polityczny z Polską. Unja polsko-litewska była wspólną racją stanu obu tych państw, co stwierdzają nie tylko historycy polscy, ale również trzej — wo myślący dziejopisarze litewscy.

I tak p. Petras Klimas, historyk, a zarazem poseł litewski w Paryżu, w odczycie, który wygłosił był na zaproszenie komitetu Fundacji Carnegie, oświadczył:

„Il est incontestable que cette première union dynastique entre les deux États a eu pour effet de les renforcer en face de leurs ennemis communs. Il n'est pas de Lithuanien qui ne s'incline devant cette vérité“²⁾).

Podobnie wyraża tę myśl inny historyk litewski, Casimir Graužinis, pisząc:

„L'union entre la Lithuanie et la Pologne a été conclue sous la pression du danger commun de Chevaliers Teutoniques et de Tartares, plus tard de Russes“³⁾).

Znany publicysta francuski, Jean Mauclère, którego Litwini zaprosili, aby wyraził swój sąd o „kwestji wileńskiej“, w książce, mocno przez samych Litwinów inspirowanej⁴⁾, również z całą szczerością wyznaje, iż — jego zdaniem — unja Litwy z Polską była jednak dziejową koniecznością.

Z drugiej jednak strony wielu Litwinów utyskuje na unję, wręcz pomawiając Polskę ówczesną o imperjalizm. Śnią oni piękne fantazje na temat wspaniałego rozwoju Li-

²⁾ P. Klimas: Les rapports des Nations Lithuanienne et Polonaise. Paris, 1927.

³⁾ Casimir Graužinis: La Question de Vilna. Paris, 1927.

⁴⁾ Casimir Mauclère: Sous le ciel pâle de Lithuanie. Paris.

rzy samodzielnej „od morza (Bałtyckiego) do morza (Czarnego)“, roztkliwiają się nad męstwem W. Ks. Witolda, który, ich zdaniem, sprostałby wszystkim przeciwnościom, przekazując Litwę mocarstwową swej progeniturze. Witold też, najniesłuszniej w świecie, uważany jest na Litwie za wyraziciela dążeń separatystycznych. Ostatnie badania atoli, podjęte z okazji pięćsetlecia zgonu W. Ks. Witolda, wręcz okazały, iż ten znakomity mąż stanu bynajmniej nie dążył do rozbicia unji polsko-litewskiej, a jego perjodyczne secesje „na górę Awentyn“ były jeno zręczną taktyką urodzonego dyplomaty, który tym sposobem szachował swoich polskich możnowładczych przeciwników.

Do unji z Polską nikt Litwinów nie zmuszał. Unja ta była dobrowolnym aktem politycznym o olbrzymiej doniosłości dla obu kontrahentów.

Dobrowolnie przyjęła Litwa od Polski szereg urzędzeń, które ją zbliżyć miały z bardziej postępowym ustrojem Polski. Zaczęło się to od przywilejów rodowych, od nadania bojarom litewskim polskich herbów i zawołań, od przywilejów ziemskich i dzielnicowych, od wspaniałej refermy rolnej, zwanej „pomierą wołoczną“, od poprawy litewskiej skarbowości, administracji, sądownictwa, wojskowości i t. p.

Wszystkie te reformy, podejmowane z uwzględnieniem potrzeb lokalnych, nie były bynajmniej narzucane siłą, jak to się dzieje z krajem podbitym. W ciągu dwóch bezmała stuleci (1386 — 1569) Litwa przeżyła szczęśliwie tak gruntowną ewolucję, na przeprowadzenie której sama nie zdobyłaby się w ciągu pół tysiąca lat.

Dobrowolnie i pokojowo przyjęła Litwa od Polski dobrodziejstwa zachodniej kultury i cywilizacji. „Przy zawieraniu unji z Litwą — pisze Antoni Chołoniewski — postawiła Polska nieśmiertelną w swej prostocie zasadę: „wolni z wolnymi i równi z równymi“ i zastosowaniem jej osiągnęła zdumiewające wyniki⁵⁾, a jak słusznie podnosi prof. St.

⁵⁾ Antoni Chołoniewski: Duch Dziejów Polski. Gebethner i Wolff.

Kutrzeba, naprzekór utartej teorii, jakoby w rozwoju państwa tylko absolutyzm objawiał wszędzie siłę spajającą — Polska XVI i XVII w. ze swym bujnym rozkwitem przewagi czynnika społecznego nad władzą monarszą, potrafiła przeprowadzić jedność państwa o wiele lepiej, niż np. despotycznie rządzone Włochy lub Niemcy.

Od unji Lubelskiej oba państwa mają wspólnego monarchę oraz wspólny sejm, który zbiera się naprzemian w Warszawie i w Grodnie.

Polonizacja zatacza odtąd kręgi we wszystkich warstwach społecznych Litwy. „Stopniowo, nieznacznie, bez żadnego nacisku, szlachta zarówno rdzennie litewska, jak białoruska (a równolegle z tem w Koronie i ruska), poczęła mówić i myśleć po polsku. Do jakiego stopnia nie było w tej metamorfozie językowej najmniejszej presji ze strony Polaków, świadczy fakt, że już po dokonanym procesie owej polonizacji język białoruski pozostał i nadal językiem na Litwie urzędowym, językiem kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego i siłą rozpędu wciąż jeszcze obowiązywał w aktach urzędowych“⁶⁾).

Polonizacja Litwy odbywała się tedy nawskroś pokojowo i dobrowolnie. Asymilacja była wynikiem czynników ideowych, była naturalnym procesem ulegania wyższej kulturze, wyższej cywilizacji. Język litewski zachował się w użyciu jedynie wśród warstwy włościańskiej i to w pewnych tylko, ograniczonych zresztą dzielnicach. Nieliczni z pośród wykształconych Litwinów kultywowali w domach litewszczyznę. Mikołaj Dauksza, historyk litewski z XVI wieku, we wstępie do swego przekładu Postylli księdza Wujka znamienne charakteryzuje rolę języka litewskiego i jego stosunek do polszczyzny: „Z przyrodzenia każdy, jako do swej nacji i krwi, tak do swego języka chęć ma większą i mocno się do niego przywiązuje. Lecz to nie tym umysłem mówię, abym miał ganić umiejętność postronnych

⁶⁾ Antoni Chłostkowski, op. cit.

języków, zwłaszcza polskiego, który nam przez ono mi-
łe zjednoczenie W. Księstwa ze
sławną Koroną Polską niemal przy-
rodzonym jest, ale tylko ganię zbrzydzenie i nie-
mal odrzucenie języka naszego, właśnie litewskiego“.

Wraz ze szlachtą polską otrzymuje szlachta litewska przywileje, prawa i wolności. I tak przywilej z r. 1387 za-
pewnia bojarom litewskim swobodę w zawieraniu zwią-
zków rodzinnych. Przywileje z r. 1434 i 1447 rozciągają
na nią prawo „neminem captivabimus“, stwierdzający, iż
nie wolno więzić obywatela bez wyroku sądowego. Przy-
wilej ten, wprowadzony w Polsce, jako w jednym z pierw-
szych państw, zdumiewał Europę rozwojem prawno-polity-
cznych swobód obywatelskich w Rzeczypospolitej, uwal-
niał on szlachtę litewską od despotycznych, tyrańskich nie-
ledwie form ustrojowych na Litwie.

Również dobrowolnie rycerstwo litewskie walczyło
w jednych szeregach z Polakami w obronie wspólnych gran-
nic. Nazwiska Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Sapiehy, Ra-
dziwiłłów, to imiona bohaterskie, zarazem polskie i litew-
skie.

W powstaniu Kościuszkowskim razem z Koroną bra-
ła udział i Litwa. Na hasło, dane z Warszawy, Litwini po-
rwali się do broni spontanicznie, gdyż czuli wspólną więź
kulturalno-uczuciową z Polską. Bohaterska postawa gen.
Jasińskiego na czele pułków litewskich stanowi w historii
jedną z najpiękniejszych kart, ilustrujących tę dobrowolną
solidarność Litwy z Polską.

Również w obu powstaniach, 1831 i 1863, dobrowol-
nie wzięli mężny udział Litwini i to nietylko tym razem ze
sfer szlacheckich, rycerskich, ale również ze stanu trzecie-
go: mieszczenie i włościanie. Nazwiska Łukaszunasa, Bi-
tisa, Pujdaka, Gugiesa i innych stały się synonimami soli-
darności chłopstwa litewskiego z niepodległościowym ru-
chem polskim.

W muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie

znajduje się zbiór pobożnych pieśni patriotycznych powstańców, przełożonych z polskiego na litewski przez Mikołaja Akietajtisa w r. 1861 p. t. „Giesmes Nabożnos Giesne už Tevine Dieve, kurs lenkas“. Znamienne!

W tych warunkach niema mowy o jakimkolwiek antagonizmie polsko-litewskim, czy też litewsko-polskim. Indywidualne odstępstwa i zdrady magnatów litewskich nie stanowiły bynajmniej wyrazu nastrojów społeczeństwa, lecz były wyłącznie dowodem warcholstwa ambitnych jednostek, upatrujących w dążnościach separatystycznych jedynie korzyści osobiste. Z biegiem lat jednostki te staną się w umysłowości nacjonalistów litewskich synonimem patriotyzmu i litewskości — dla celów demagogicznych. Naród litewski jednak instynktownie Ignął do Korony, jakby w oparciu się o nią tylko mógł czuć się bezpiecznym wobec odwiecznych wrogów z północy i wschodu, t. j. Niemców i Moskali.

„Antagonizm“ litewsko-polski wybuchą po powstaniu styczniowym, jako świadomy kierunek rosyjskiej reakcji.

Oto w r. 1863, pod wodzą utalentowanego publicysty rosyjskiego, Katkowa, rodzi się w polityce rosyjskiej reakcja i wybuchą dzikim szowinizmem i nienawiścią przeciwko Polakom.

Katkow, zrazu liberał, redaktor „Russkawo Wiestnika“, z intuicją urodzonego polityka, wyczuł, iż w Rosji odbywa się żywiołowy odpyływ fali rewolucyjnej z jednej strony, a niepopularność liberalizmu rządowego z drugiej strony. Przystępuje więc do kampanji, w jaką wciągnie niebawem Litwinów. Niezadługo do akcji Michała Nikiforowicza Katkowa dołączają się wpływowe „Wiadomości Moskiewskie“, które zręcznie poczną ludzi Litwinów mirażami łask, dobrodziejstw i autonomji.

Wśród studentów uniwersytetu moskiewskiego, pochodzących z Litwy, Katkow dopatrzył się separatyzmu pew-

nej ich grupy i oto postanawia wyzyskać ten ruch, jako wodę na młyn rosyjski. Katkow „zrozumiał bowiem, że naturalny prąd przebudzenia narodowego, przychodzący z opóźnieniem jednego pokolenia do ludów Europy północnej z zachodu, należy w interesie rosyjskim popierać, gdyż pójdzie on siłą rzeczy w kierunku przeciwstawienia odradzających się Litwinów polskości“⁷⁾).

Z chwilą, kiedy Murawjew-Wieszatel obejmuje swe rządy nad Litwą, karząc ją ciężką ręką za współdziałanie w wyzwolénym ruchu polsko-litewskim — Katkowowi udaje się równocześnie na lep obłudnych obietnic zjednać grupę studentów-Litwinów, z których jedni dla kariery, inni przez głupotę, postanawiają oprzeć się na Rosji dla zgnięcia wspólnego wroga — Polaków. Katkow rozpoczyna „dziki taniec nienawiści derwisza moskiewskiego“, jak trafnie to określił Szczedryn. Z Litwinami stosuje typową metodę polemiki demagogicznej: w różowych barwach maluje im świetną przeszłość Litwy i jej żaloszny koniec, wynikły z sojuszu z Polską.

Rząd rosyjski, ze wszech miar popierający akcję Katkowa, według jego wskazówek, ustanawia dla studentów-Litwinów stypendja i bursy, zezwala na tworzenie kółek i stowarzyszeń o charakterze społeczno-politycznym (o ideologii wyraźnie prorosyjskiej atoli); rusyfikuje ich.

System Murawjewa — jak pisze Leon Wasilewski w swem znakomitem studjum⁸⁾ — gnębiący Polaków konfiskatami i kontrybucjami, zmierzał do tego, aby zatrzeć wszelkie ślady samego istnienia polskości poza obrębem Królestwa. Mnóstwo folwarków i osad polskich zniszczono, spalono, zrównano z ziemią, a ludność ich wysiedlono do Rosji. Polaków usunięto na Litwie ze wszystkich urzędów i stanowisk. Surowo zakazano używania polskiego języka. Murawjew zalecił, aby „przedmioty, przypomina-

⁷⁾ Władysław Wielhorski: Byt ludności polskiej w Państwie Litewskim. Wilbi, Wilno, 1925.

⁸⁾ Leon Wasilewski: Litwa i Białoruś. Warszawa, 1925.

jące polskie panowanie w tym kraju i podniecające między ludnością tubylczą niewłaściwe marzenia i występne dążności, zebrane były oddzielnie i umieszczone w osobnej sali do dalszego rozporządzenia“. Przedmioty te, w 38-iu pakach zebrane, wywieziono też niebawem do Moskwy.

Skoro jednak polonizacji polskiej w ciągu stuleci uległy szerokie masy litewskie, niepodobna było uniknąć im prześladowań. I oto rząd z jednej strony popiera antypolskie uczucia wśród litewskich studentów-stypendystów, a z drugiej strony łącznie z polskością litewskość tę gnębi.

To też rozniecić w pełni i podsycić renesansu litewskiego rząd rosyjski nie był w stanie, gdyż „ponad chętkę skłócenia dwu bratnich narodów „innoplemięńczych“ górowała myśl scałkowania i zlania „zachodnich kresów“ z resztą Cesarstwa Rosyjskiego“⁹⁾).

I znowu zatem nie widzimy tutaj „antagonizmu“ litewsko-polskiego wśród masy narodu litewskiego. Sztucznie zainspirowana nienawiść dla Polaków znalazła jeno posłuch wśród garstki renegatów litewskich, stypendystów moskiewskiego uniwersytetu i uczniów Katkowa. Ale jad nienawiści, chociaż w niewielkiej zastrzyknięty ilości, podzielać miał później, kiedy z całą siłą wybuchnie w grupie litewskich nacjonalistów.

Naród litewski wciąż poczuwa się do solidarności z Polską, z nią razem cierpi prześladowania, z nią czuje się związanym wspólną odpowiedzialnością za losy Rzeczypospolitej.

Drugą okoliczność, którą rząd rosyjski wykorzystał dla antypolskiej kampanji, stanowiło uwłaszczenie chłopów w Imperjum Rosyjskiem. Tutaj dla Rosjan teren był niewątpliwie wdzięczniejszy, gdyż chodziło o agitację słabo uświadomionego politycznie litewskiego chłopą. Ponieważ szlachta litewska oddawna się spolszczyła i—świadoma politycznie i kulturalnie — nie dała się pociągnąć kilku od-

⁹⁾ Władysław Wielhorski, op. cit.

szczepieńcom, zaagitowanym przez Katkova, uderzenie w nią miało przyjść z drugiej strony, niejako od dołu. Wmawiało się w litewskiego chłopca, iż pan-szlachcic jest jego wrogiem: nie chce oddać mu ziemi, którą chłopcu przyznał rząd rosyjski. Dlaczego nie chce tego uczynić? Dlatego oto, iż jest Polakiem, spolszczył się i stał się wrogiem litewskiego ludu.

I tu zatem widzimy, iż niechęć, jaką w stosunku do Polaków jęli zdradzać włościanie litewscy, nie wypływała z ich głębokiego przeświadczenia o niedoli własnej, lecz została sztucznie a perfidnie zaszczipiona przez Rosjan. I znowu zatem Polacy nie dali tu najmniejszej przyczyny do powstania jakiegoś narodowego „antagonizmu“, lecz wynikł on ze szczególniejszych okoliczności natury społeczno-rolniczej.

Bowiem w dalszym ciągu tępienie polsko-litewskością (zakaz druków polskich i litewskich, prześladowanie Kościoła katolickiego, przy którym wiernie stali i Litwini i Polacy) — w duszy narodu litewskiego budziło nieufność do wroga-Moskale i nieufności tej nigdy nie udało się Rosjanom przełamać.

Niebawem ostrość współzawodnictwa polsko-litewskiego miała się najwięcej uwydatnić na terenie wyznaniowym, gdzie nacjonałiści litewscy jęli obawiać się dalszej „polonizacji“ Litwy. Obawy te skądinąd były usprawiedliwione, gdyż właśnie przedewszystkiem Kościół katolicki od wieków był na kresach największą ostoją polskośći.

Z tą ostoją postanowili zmierzyć się litewscy nacjonałiści, wśród których separatystyczne dążności zdążyły się już skryształizować i kielkować na gruncie jakiejś przedziwnej nienawiści, nieuzasadnionej, tępej, uporczywej, zawziętej.

Największe odium tej nienawiści rozwinęło się w latach 1905 — 1912. Terenem walki miał się stać kościół. Jest to zrozumiałe, gdyż cały ruch niepodległościowy li-

tewski wszczął kler, jako element wykształcony i politycznie najbardziej uświadomiony¹⁰).

I oto przedmiotem walki stało się zagadnienie sporne: w jakim języku mają się dzieci uczyć „czem jest Bóg“?

Przed wojną w dwóch djecezjach, gdzie Litwini siedzieli zwartą masą, a więc w Sejneńskiej i Żmudzkiej (kowieńskiej), mieli oni biskupów i kler narodowości litewskiej. Spór toczył się zatem o djecezję wileńską.

Zdaniem Litwinów, część południowo-zachodnia i zachodnia b. gubernji wileńskiej miała liczyć do 350.000 Litwinów. Jednodniowy spis z r. 1897 wykazał, iż jest ich zaledwie 283.447. Pozostałych katolików, t. j. Polaków i Białorusinów, naliczono 1.222.386. Litwini zatem stanowili ledwie 1/7 część wiernych. Duchowieństwo djecezji wileńskiej było mieszane, utrakwistyczne, złożone z Polaków i Litwinów. Biskup zawsze był Polakiem. Parafji w tej djecezji było 320 (według spisu urzędowego z r. 1909). Księży wszystkich było 440, w tem Litwinów — 149. Ponieważ obowiązki swoje pełnili oni wyłącznie prawie w b. gubernji wileńskiej, przeto nie mogło być mowy, że litewskiej ludności brak litewskich księży.

Czegóż żądali Litwini?

Dowodzili przedewszystkiem, że powszędzy stosowane kryterjum narodowości nie da się zastosować na Litwie. Ksiądz Tumas, działacz litewski, redaktor pisma „Viltis“ (Nadzieja), nie zgadzał się z teorią samookreślenia, która głosiła, że Litwinem jest ten, kto ma świadomość swej litewskości i kto ma odwagę wyznać, że jest Litwinem. Ks. Tumas propagował inne kryterjum, a mianowicie, jego zdaniem, „Litwinem jest ten, czyi rodzice mówią po litewsku“. Cofał zatem określenie narodowości wstecz do poprzedniego pokolenia. Nie trzeba dowodzić, jak nedorzeczny był to sprawdzian.

Po objęciu administracji djecezji wileńskiej przez ks. prałata (obecnie biskupa sufragana) Kazimierza Michalkie-

¹⁰) E. M. Schummer: Nowa Litwa. Warszawa, 1930.

wicza, po usunięciu przez rząd zasłużonego biskupa (dziś arcybiskupa) Roppa, malkontenci litewscy wszczęli gwałtowną akcję, zmierzającą do wprowadzenia języka litewskiego i w tych kościołach, w których kazania odprawiane były po polsku. Wobec tego żądania, młody, energiczny kapłan postanowił przeprowadzić spis ludności katolickiej, aby przekonać się, czy słuszne są uroszczenia Litwinów. Aby osiągnąć zupełną bezstronność, powierzono spis duchownym litewskim. Mieli oni oznajmiać z ambony o akcie spisu i wezwać ludność do samookreślenia się. Oni też mieli prowadzić listę.

Wyniki spisu okazały się dla Litwinów poprostu druzgocące: Litwinów znalazło się w Wilnie 2.227 na ogólną ilość 95.000 katolików!

Wobec tego, iż Litwini dawniej już otrzymali na wyłączną własność kościół św. Mikołaja, a pozostali katolicy mieli dla siebie 16 kościołów, przeto jeden kościół przypadł na 2.227 Litwinów i jeden na 5.500 Polaków (łącznie z nieznanym odsetkiem Białorusinów). Okazało się zatem, że „pokrzywdzeni“ Litwini wileńscy w rzeczy samej byli jeszcze uprzywilejowani!

Ks. K. Michalkiewicz zamierzał analogiczne spisy przeprowadzić nadto we wszystkich miejscowościach, skąd tylko dochodziły skargi litewskie. W rezultacie spisu jednego jeszcze dokonano w parafji Janiszki pow. wileńskiego. Wynik był jeszcze bardziej dla Litwinów niespodziewany: na kilka tysięcy parafjan, do narodowości litewskiej przyznało się zaledwie 39 osób! Litwini wymogli na ks. Michalkiewiczu, iż zaniechał dalszych spisów.

Pomimo wyraźnego uprzywilejowania Litwinów w Wilnie, ks. Administrator zaprowadził kazania litewskie jeszcze w trzech innych kościołach. Nadto wprowadził do seminarjum duchownego język litewski, jako przedmiot obowiązujący, co już było dowodem wielkiej tolerancji i życzliwości dla litewskich współwyznawców.

I na tym, kościelnym odcinku, okazało się, że Polacy nie

tylko nie okazują Litwinom niechęci, ale wszelkimi siłami starają się przyjść im z pomocą i uznać ich godziwe i słuszne pretensje. Nie można tutaj również mówić o nienawiści Litwinów do Polaków, gdyż gdyby tak było, wynik spisu ludności katolickiej w Wileńszczyźnie nie okazałby się dla Litwinów równie niekorzystny pod względem narodowościowym. Przywódcy separatyzmu litewskiego nie mogli, czy też nie chcieli poprostu pogodzić się z faktem, że Wilno i jego okolice uległy tak dalece polonizacji, iż nawrót do litewskości będzie dla nich niemożliwością. Akcja tych przywódców, z ks. Tumasem na czele, była tedy wyrazem nie nastrojów ogólnych społeczeństwa, lecz stanowiła zjawisko oderwane, indywidualne, nawskroś demagogiczne.

Naród i społeczeństwo litewskie, nawet w chwili rozbudzenia się odrodzieńczego ruchu, nie chciał wystąpić wrogo przeciwko bratniemu społeczeństwu polskiemu, czując się w dalszym ciągu związanymi z nim wszystkimi ogniwami kultury, języka, religii.

Reasumując, widzimy, iż geneza „antagonizmu“ litewsko-polskiego bynajmniej nie tkwiła w psychice ludu litewskiego, lecz źródło swoje znajduje w agitacji zaborców, którzy podstępnie i perfidnie wygrywali sąsiedzkie spory, podsycając nienawiść, szerząc niesnaski, budząc wzajemną niechęć — a to w myśl machiawelskiego hasła „divide et impera!“.

Wybory do sejmu wileńskiego z 8 stycznia 1922 jawnie okazały polskość ziemi wileńskiej i jej żądanie należenia do Polski, co tak pięknie wyraziła uchwała w przedmiocie przynależności państwowej Wileńszczyzny:

„My, Sejm w Wilnie, wolną i powszechną wolą ludności Ziemi Wileńskiej powołany, pełnię prawa do stanowienia o losach tej ziemi posiadający, pomni na wielowiekowe węzły, co aktami w Horodle i Lublinie, w uchwałach Konstytucji Majowej z r. 1791 ukoronowanymi, ziemie nasze z Polską na mocy dobrowolnych umów w jedno połączyły, oraz na krew ojców naszych, ofiarnie przelaną w walkach

nerodu o wolność po nieszczęsnych Ojczyzny rozbiorach, składając hołd męstwu i poświęceniu żołnierza polskiego, synowi tej Ziemi, Józefowi Piłsudskiemu, bohaterskiemu czynowi Generała Żeligowskiego, zgodnie z prawem narodów do stanowienia o sobie, w imieniu ludności tej Ziemi, jej żyjących i przyszłych pokoleń, mając na celu zabezpieczenie ich wolności i wszechstronego duchowego i materialnego rozwoju, na posiedzeniu dnia 20 lutego 1922 roku uchwalamy i stanowimy... 4. Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozdzieloną część Rzeczypospolitej Polskiej“.

Eugeniusz M. Schummer.

KOMUNIKAT REDAKCJI.

Wydawca i redaktor naszego pisma, dr. Jan Bobrzyński, złożył w ostatnich dniach wszystkie swe piastowane od szeregu lat funkcje w organizacjach obozu zachowawczego, mianowicie generalny sekretarjat Str. Prawicy Narodowej oraz członkostwo w Radzie Naczelnej i w Zarządzie Oddziału warszawskiego tegoż stronnictwa, jak również mandat zast. członka Komitetu Zachowawczego, aby wobec rozwoju naszego wydawnictwa i czynnej akcji, której ośrodkiem jest Nasza Przyszłość, całkowicie im się poświęcić.
